

Barbara Kosmowska • Marcin Koziół • Robert „Robb” Maciąg • Anna Onichimowska

Katarzyna Ryrych • Marcin Szczygieski • Katarzyna Wasilkowska • Rafał Witek

Ilustracje Ewa Poklewska-Koziełło

Gdzie jest Smoky?

Opowiadania
o maskotkach
olimpijskich



Gdzie jest Smoky?



Warszawa 2025

Gdzie jest Smoky?

Opowiadania
o maskotkach
olimpijskich



Barbara Kosmowska • Marcin Kozioł • Robert „Robb” Maciąg • Anna Onichimowska
Katarzyna Ryrych • Marcin Szczygielski • Katarzyna Wasilkowska • Rafał Witek
Ilustracje Ewa Poklewska-Koziełło

Spis treści

Barbara Kosmowska	7	Brat na medal
Katarzyna Wasilkowska	21	Ramiona szeroko otwarte
Marcin Szczygieski	37	Misja
Rafał Witek	53	Rowerowe pogotowie ratunkowe
Barbara Kosmowska	67	Łąka tylko dla ortów
Marcin Koziół	81	Ale bigos!
Katarzyna Ryrych	99	Środek tarczy
Marcin Szczygieski	113	Mirka
Katarzyna Ryrych	127	Droga do lasu
Anna Onichimowska	145	Wielka ucieczka
Robert „Robb” Maciąg	161	Vučko
Mateusz Kusznierevich	172	Mistrz o mistrzu
	174	Indeks oficjalnych maskotek olimpijskich

Brat na medal

Mandeville przymknął na chwilę swoje jedyne oko – obiektyw kamery – i westchnął głęboko.

Zawsze był dumny, że jest wspaniałą olimpijską maskotką, uwielbianą przez cały świat. Ale taka miłość zobowiązuje. Wiedział o tym, więc od kilku dni pracowicie pochylał się nad niezwykle ważną sprawą, którą już wkrótce omówi ze swymi przyjaciółmi, radosnym Izzy z Atlanty i Tomem, wygrzewającym się w ciepłym słońcu Rio de Janeiro. Teraz, gdy przywołał ich w myślach, serdecznie zatęsknił za wesołym towarzystwem.

„Dobrze mieć przyjaciół” – pomyślał czule o kolegach, maskotkach z innych igrzysk. Zawsze byli drużyną. Gdy któryś ze sportowców potrzebował ich pomocy, spieszili



z dobrą radą, wspierali w kłopotach. A kiedy chodziło o zawodnika walczącego nie tylko ze sportowym rywalem, lecz także z własnymi słabościami i ograniczeniami, nadawali swej misji kryptonim SNZ i natychmiast ruszali do akcji ratunkowej. W końcu nie każdy ma przywilej opiekować się prawdziwymi wojownikami.

W takich chwilach Tom bez żalu opuszczał ukochany brazylijski las, by szybko zasiąść przed ekranem. Izzy, choć okrągły jak piłeczka, potrafił lotem błyskawicy zająć swój fotel i uruchomić wideokonferencję. Nie darmo nosił trampki z błyskawicami. A Mandeville, dzięki kamerze, w którą został hojnie wyposażony, kontaktował się z przyjaciółmi z każdego miejsca na Ziemi. I to najczęściej on wysyłał sygnał „SNZ”.

Tak było również teraz.

– Znowu „Sprawa niecierpiąca zwłoki” – westchnął Izzy, czytając z uwagą wiadomość od Mandeville’a.

– Żegnaj, leśna pustelnio! – Tom zerwał się z wygodnego hamaka, gdy tylko na ekranie telefonu mrugnęło znajome SNZ. – Oho! Alarm! – zmartwił się. – Obyśmy mogli i tym razem zaradzić kłopotom...

Również Mandeville zasiadł w studyjnym pokoju, gotowy podzielić się z przyjaciółmi smutnymi doniesieniami. Czekając na nich, rozmyślał o pięknym życiu, jakie przypadło

w udziale ich trójce. Choć igrzyska, dzięki którym stali się sławni i popularni, przeszły już do historii, to ich praca jako maskotek nie kończyła się nigdy. Wiadomo! Symbolem pozostajesz na całe życie!

Popularność i miłość, jakiej doświadczali od sportowców, kibiców i ludzi kochających sport, dawała im niezwykłą siłę, a oni dzielili się nią z tymi, którym nagle zabrakło odwagi. Albo sił. Albo zwyczajnej wiary w siebie.

– Tym razem sprawa jest poważna i naprawdę niecierpiąca zwłoki – smętnie pokiwał głową Mandeville. – Zawsze jest poważna, kiedy chodzi o dzielnego sportowca... Ale gdy jest nim wrażliwy nastolatek, w dodatku bohater, rzecz się jeszcze bardziej komplikuje...

Mandeville i Tom to maskotki z igrzysk paralimpijskich, gdzie występują sportowcy z niepełnosprawnościami.

Mandeville doskonale o tym wiedział. Zerknął na swój zegarek, ozdabiający przegub stalowej ręki. To on przypominał mu zawsze, kim jest i jakie ma obowiązki.

„Na szczęście twardy ze mnie typ. Łatwo się nie poddaję” – pomyślał z dumą.

– Nie bez powodów stworzono mnie ze stali. No i mam niezawodnych przyjaciół... W sporcie nikt nie jest sam – mruknął z satysfakcją.

– Halo, halo, tu Izzy! Czy mnie widać i słyszać? – Na srebrnym ekranie rozkwitł dobroduszy uśmiech niezdarne grubaska w niebieskim ubranku.

– I widać, i słyszać! – ucieszył się Mandeville.

Sympatyczny Amerykanin zawsze poprawiał mu humor.

– Cześć, chłopaki! – W niewielkim okienku zamajaczyła czupryna z żółto-brązowych liści, a po chwili pojawił się Tom. Kolorowy jak paleta farb.

– Masz, kolego, liście na głowie! – żartobliwie przywitał go Mandeville.

– Wyglądasz, jakbyś się urwał z hamaka – dodał ze śmiechem Izzy.

– Porzuciłem dla was brazylijską sambę i leśne odludzie! Lata mijają, a wy wciąż najważniejsi – westchnął komicznie.

– Miło pożartować – spoważniał Mandeville – ale pora brać się do pracy. Tym razem młody sportowiec z Polski potrzebuje naszego wsparcia.

– Z Polski? – zakłopotał się Izzy. – Poczekajcie, niech spojrzę na mapę...

– Nie żartuj! – oburzył się Mandeville. – To przecież kraj Róży Kozakowskiej!

– ...i wielu innych mistrzów! – prychnął Tom. – Dobrze pamiętam Ewę Durską, Natalię Partykę... Rafał Wilk wielokrotnie stawał na podium... – wymieniał jednym tchem znane nazwiska. – Z mojego Rio Polacy wywieźli całą walizkę złota, srebra i brązu!

– No jasne! – Izzy klepnął się w wielkie czoło. – Przecież w Atlancie zdobyli aż trzy naście złotych medali! A Małgorzata Olejnik... Pamiętacie? Ona bez pudła trafiała w tarczę, więc stanęła na pudle, a do Polski wróciła, jak to się mówi, z tarczą! Opowiadał mi o tym mój kumpel, feniks Blaze, który został wybrany maskotką tamtych igrzysk.

– Co się tam wydarzyło, że jesteśmy potrzebni? – przeszedł do rzeczy Tom.



– No właśnie – spochmurniał Mandeville. – Dostaliśmy list od dziesięcioletniego Jaśka. To jest dopiero mały bohater! Prosi nas o pomoc dla swego starszego brata, Filipa, który był świetnym pływakiem...

– Był? – zmartwił się Izzy.

– Tak. Rok temu Filip uratował dziecko, które wybiegło na jezdnię, ale sam odniósł koszmarnie obrażenia. Samochód zmiażdżył mu stopę...

– Teraz medycyna radzi sobie z najgorszymi przypadkami... – przerwał mu Izzy. Zawsze patrzył na wszystko z optymizmem i wierzył, że każde nieszczęście to taki bieg przez płotki, który ma swój dobry finał.

– Niestety – ciągnął Mandeville – podczas badań wykryto inną groźną chorobę. Filip już wie, że być może nigdy nie stanie na obu zdrowych nogach.

– Okropna wiadomość – wzdrygnął się Tom – ale przecież sport jest dla wszystkich!

– Wystarczy chłopca przekonać, że każdy może uprawiać sport. Nawet osoby niepełnosprawne... – poparł go Izzy. – Nasze igrzyska paralimpijskie... – rozpoczął, ale Mandeville nie pozwolił mu skończyć.

– ...dlatego Jasiek napisał właśnie do nas. On i przyjaciele Filipa mają nadzieję, że pomożemy mu odzyskać wiarę w siebie. Trener Niebieskich Delfinów chce przygotować chłopca do startu z innymi niepełnosprawnymi pływakami. Jednak żeby tak się stało, chłopiec musi wrócić na pływalnię...

– Totalna załamka? – domyślił się Tom. – Dotąd nie zajmowaliśmy się dziećmi...

– No właśnie! – westchnął Mandeville. – To trudne zadanie. Tylko wspólnie możemy znaleźć sposób, by ratować chłopca. Za tydzień są jego urodziny – ciągnął londyńczyk.

– A Jasiek przygotowuje z tej okazji specjalną niespodziankę.

– To dopiero brat na medal – mruknął z podziwem Izzy.

– Wpadł na genialny pomysł, ale o tym za chwilę. Teraz poznajcie naszego bohatera...

Mandeville uruchomił kamerę i ekran zamigotał kolorowo. Najpierw pojawił się na nim bobas w pełnej mydlin wannie, potem maluch w ogrodowym basenie. Wreszcie sympatyczny nastolatek startujący w zawodach. Filip w wodzie, Filip na podium, kolekcja medali w chłopięcym pokoju...

– Czy ten dzieciak, ten obok Filipa, to...
– Tak! To właśnie Jasiek. – Mandeville powiększył zdjęcie. – Spójrzcie tylko! Wszędzie mu towarzyszy. I jaki jest dumny z brata!
– Miałeś rację – szepnął Tom, gdy prezentacja dobiegła końca. – Sprawa niecierpiąca zwłoki.
Wciąż myślał o fotce zamykającej tę piękną kronikę. Przedstawiała chłopca na wózku inwalidzkim, patrzącego w dal smutnymi oczami, w których zgasł uśmiech.
– Trzeba działać szybko! – Izzy zawsze potrafił wskrzesić ducha walki.
– Uff – odetchnął z ulgą Mandeville. – Wiedziałem, że można na was liczyć! Bierzmy się zatem do dzieła...

* * *

W pokoju Filipa wschodziło słońce. Każdego ranka witał je ze swojego łóżka. Teraz miał mnóstwo czasu, by łowić ciepłe promienie zza szyby. Od kilku tygodni nie opuszczał bezpiecznej kryjówki. Pewnie, że tęsknił za minionymi chwilami, gdy czuł słońce na twarzy. Wracił uśmiechnięty ze szkoły i niecierpliwie oczekiwał kolejnych treningów. Był chlubą klubu pływackiego i wrócono mu sportową karierę. A on kochał wodę, drużynę i gwizdek trenera.

Wypadek zmienił wszystko. Nikt już nie mówił o sukcesach. Nie gratulował postępów w pływaniu. Treningi stały się smutnym wspomnieniem. Próbował być dzielny, ale ileż można!

„Trudno udawać bohatera, gdy nim nie jesteś” – myślał. Drażnili go rodzice, koledzy i trener. Te ich sztuczne uśmiechy, silenie się na radosne zdania... Z Aśką zerwał, bo po co takiej świetnej dziewczynie niedołączny kaleka... Tylko z Jaśkiem rozmawiało mu się jak kiedyś. Wiadomo! Brat rozumiał go najlepiej i przynajmniej nie wciskał lipy, że potrzeba czasu, będzie dobrze, inni mają gorzej... „Co za bzdury!” – prychnął sam do siebie.

A dziś są jego czternaste urodziny. Na szczęście nikt nie przyjdzie, bo tego sobie zażyczył. Żadnych sztuczek z tortem, obietnic cacanek, zwłaszcza pocieszanek. Zagra z młodym w szachy, obejrzy stare zdjęcia. Posiedzi w necie...

„Zaraz, gdzie mój laptop?” – zdziwił się, patrząc na nocny stolik.

Od czasu wypadku nie wypuszczał go z ręki. Było tam wszystko, co kochał. Zbiór fotek z dawnych czasów, maile od Aśki, fotorelacje z zawodów i rodzinne podróże.

„To pewnie robota Jaśka – uśmiechnął się pod nosem. – Znowu bębni w te swoje gry!” Ostatnio kilka razy laptop zniknął, by następnie w sposób niemal czarodziejski powrócić na stolik. Filip udawał, że nie zauważa tych laptopowych zniknięć. „Też kiedyś byłem młody” – rozgrzeszał brata.

Za drzwiami jego pokoju panował dziwny ruch. Otwierały się hałaśliwie i zamykały drzwi prowadzące do ogrodu. Pozazdrościł domownikom.

Przez moment zapragnął ruszyć na werandę. Usiąść w pełnym słońcu na dworze. Przymknąć oczy i cieszyć się latem z resztą rodziny. Szybko jednak zrezygnował z tego pomysłu. Szczelniej otulił się kołdrą i odwrócił do ściany. Dobrze, że zdjął z niej swoje dyplomy i wyróżnienia. Teraz była pusta i biała. Jak jego przyszłość. Przypominała mu, że musi wszystko zacząć od nowa. Łącznie z nauką chodzenia.

* * *

– Wstawaj, brachu! No, plisska! Ruchy, ruchy!!! Afera jest!!!

Filip rozejrzał się nieprzytomnie. Musiał zasnąć, i to na długo, bo za oknem już zmierzchało. Odszukał wzrokiem dręczyciela. Oto i on! W rogu łóżka stał Jasiek i szamotał się z kołdrą jak mały złośliwy psiak. Niemiłosiernie ciągnął go za nogawki piżamy i nie przestawał przeraźliwie jęczeć.

– Nie można znęcać się nad kaleką! – Filip z całych sił bronił kołdry, ale brat był sprytniejszy.

– Siadaj na wózek! Coś się wydarzyło w ogrodzie i ja sam nie dam rady! – mówił gorączkowo, podając Filipowi pled. Wyglądał na przerażonego, więc upór w tej sytuacji nie miał sensu.

Kiedyś medal igrzysk paraolimpijskich z Rio de Janeiro zawierał maretkę, grzechotkę, która brzęczała przy potrząśnięciu, zapewniając sportowcom nowy sposób świętowania sukcesu. Złote, srebrne i brązowe medale wydawały różne dźwięki.



– Co się stało? Pożar? Złodzieje? – Filip z wprawą przeniósł się na wózek.
– Znacznie gorzej! – sapał Jasiek, przepychając wózek z bratem przez drzwi. – Nie potrafię ci nawet tego wyjaśnić! – trąkotał nerwowo. – Sam zobaczysz! To jakieś mary-koszmary, wielkie nie do wiary, kino akcji i sajensfikszyn po prostu! – wyrzucał jednym tchem.
– Ale ja... – rozpoczął Filip i zamilkł.

Bo wózek zatrzymał się na progu werandy. A to, co zobaczył, w żadnym razie nie było ich starym małym ogrodem! Wokół paliły się dziesiątki kolorowych lamp i lampionów. Weranda, zamieniona w scenę, tonęła w kwiatkach, a wokół niej stali ci, którzy zawsze byli dla Filipa najważniejsi. Babcia z dziadkiem, obok rodzice. Koledzy z basenu. Nawet młodzik! Trener ze swoją miłą żoną i nauczyciele Filipa. Ba! Przyszła cała jego klasa i nawet pani woźna, którą bardzo lubił! Obok starej jabłonki stała Asia w białej sukience. Nic dziwnego, że się w niej kiedyś zakochał. Znowu wydała mu się piękna jak marzenie i wcale nie wyglądała jak porzucona dziewczyna. Koło niej dostrzegł rodzinę malucha, którego uratował przed

pędzącym autem. Maluch też był! Z wielką kokardą na szyi wyglądał jak słodki prezent. Nawet pan doktor od złamań znalazł się wśród tłumu i serdecznie machał teraz do swego pacjenta łyżeczką ubrudzoną tortem.

– Zaniebdałeś gości, śpiochu, więc zaczęliśmy jeść tort bez ciebie! – Mama czule objęła syna. – Tylko spójrz, ilu masz przyjaciół! Wszyscy przyszli, by cieszyć się tobą. I z tobą.

– Ale ja... jeśli chodzi o mnie... – rozpoczął nieskładnie oszołomiony Filip. – ...nam wszystkim chodzi o ciebie – przerwał mu Jasiek. – Dlatego tu przyszliśmy. Prosić cię, abyś do nas wrócił – dokończył wśród głośnych braw.

– Zresztą, sam posłuchaj, co mają ci do powiedzenia twoi ulubieńcy...

W rogu ogrodu pojawił się wielki ekran. Jasiek nacisnął guzik laptopa, który wydał się Filipowi dziwnie znajomy. Nie zdążył jednak zbesztać brata, bo wtem wśród krzewów zamajaczyły na rozpostartym płótnie trzy doskonale znane Filipowi postaci.



Wartości sportu paralimpijskiego:

odwaga,
determinacja,
inspiracja
i równość.

– Sto lat, Filipie!

– Hello!

– Się masz, Filip! – rozsypały się radosne pozdrowienia.

– O rany! Nie wierzę! To przecież moje ukochane maskotki! – wykrztusił z przejęciem. – Mandeville, Tom i Izzy!

– Nie dziw się, że tu jesteśmy! – odezwał się Mandeville z szarmantym uśmiechem. – Dawno nikt nas tak nie wzruszył i nie zachwycił jak ty!

– To prawda! – zawtórował mu Izzy. – Nie dość, że sam jesteś na medal, to masz także brata na medal – uśmiechnął się, zadowolony ze swego dowcipu.

– Trudno nas zaskoczyć odwagą – wpadł koledze w słowo Mandeville – spotykamy się z nią niemal codziennie. Ale tobie się udało!

– Dlatego chcemy, abyś dołączył do bohaterów, którzy nie znają ograniczeń... – potrząsnął swą liściastą czupryną Tom.

– Nie boją się pokonywać kolejnych trudności – dodał Mandeville.

– Są gotowi podjąć sportową rywalizację... – wtrącił Izzy.

– ...by wygrać najpierw z własną słabością, a potem pokonać rywala w uczciwej sportowej walce – dokończył Tom.

– Przesłaliśmy na ręce Jasia skromny prezent. – Mandeville uśmiechnął się tajemniczo.

– Idealnie się zmieści na twojej pustej ścianie! – Izzy też nie krył rozbawienia.

– Postanowiliśmy z tobą zamieszkać – zaśmiał się Tom. – Chyba nie masz nic przeciwko temu?

– Oczywiście, że nie... – Filip wciąż miał wrażenie, że śni. Jednak wszystko wokół było tak prawdziwe. A już najbardziej ciężki karton, który wręczył mu Jasek. Ozdobiony szarfą w kolorach klubu pływackiego i papierem w niebieskie delfiny. Z wydrukowanym napisem: „JESTEŚ NASZĄ NAGRODĄ ZA PEŁNE CHWAŁY ZWYCIĘSTWO”.

W środku były trzy wspaniałe plakaty w stalowych ramkach. Filip każdy z nich podnosił do góry, pełen obaw, że za chwilę rozplącze się ze szczęścia jak dzieciak.

Na pierwszym Mandeville wskazywał tablicę ze słowami Johna Woodena: „Nie pozwól, by to, czego nie możesz zrobić, miało wpływ na to, co możesz zrobić”.

Drugie, ogromne zdjęcie przedstawiało Toma, który wybrał dla Filipa cytát Tomasza Eliota: „Tylko ci, którzy ryzykują pójdą za daleko, dowiedzą się, jak daleko można dojść” – głosiło hasło. Na trzecim afiszu pocieszny Izzy trzymał tarczę ze zdaniem Platona: „Najważniejszym i największym triumfem człowieka jest zwycięstwo nad samym sobą”.

Wzruszenie odebrało Filipowi głos.

– Pięknych urodzin, nasz bohaterze! – zegnali się z nim ekranowi goście.

– Nie zapomnij umieścić nas na pustej ścianie nad łóżkiem! – przypomniał wzruszony Izzy. – Chcemy cię mieć na oku!

– Dzięki takim ludziom jak ty mamy najlepszą robotę na świecie! – dodał na pożegnanie Tom.

A kiedy cała trójka zniknęła z ekranu, Jasek podał Filipowi jeszcze jeden, znacznie mniejszy prezent. Właściwie to zwyczajną białą kopertę z niewielką kartką w środku.

– Małe prezenty też są ważne – mruknął, patrząc badawczo na brata.

Filip delikatnie wyjął niepozorny bilecik. Pochylił się nad nim, a potem odnalazł wzrokiem swojego trenera. Stał skromnie z boku, przesłonięty krzakami agrestu. Jakby się bał, że zakłóci sobą uroczystość.

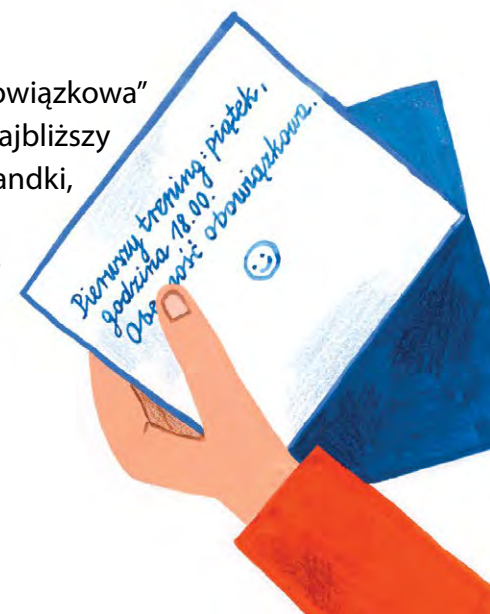
– Dziękuję, trenerze... – zwrócił się do niego chłopiec drżącym głosem. – To... to jest świetny prezent. I jestem gotowy go przyjąć.

Ponownie pochylił się nad karteczką.

– „Pierwszy trening: piątek. Godzina osiemnasta. Obecność obowiązkowa” – odczytał głośno. – Asiu – zwrócił się do swej przyjaciółki. – W najbliższy piątek, o osiemnastej nie będę miał czasu, więc nie planuj żadnej randki, jakby co... – rozpoczął.

Dalsze jego słowa utonęły w ogólnej wesołości i głośnych brawach. Zresztą, nikomu nie były potrzebne. Słowa nie są tak ważne jak czyny. To one rodzą najpiękniejsze słowa i każdy, nie tylko sportowiec, doskonale o tym wie.

.....



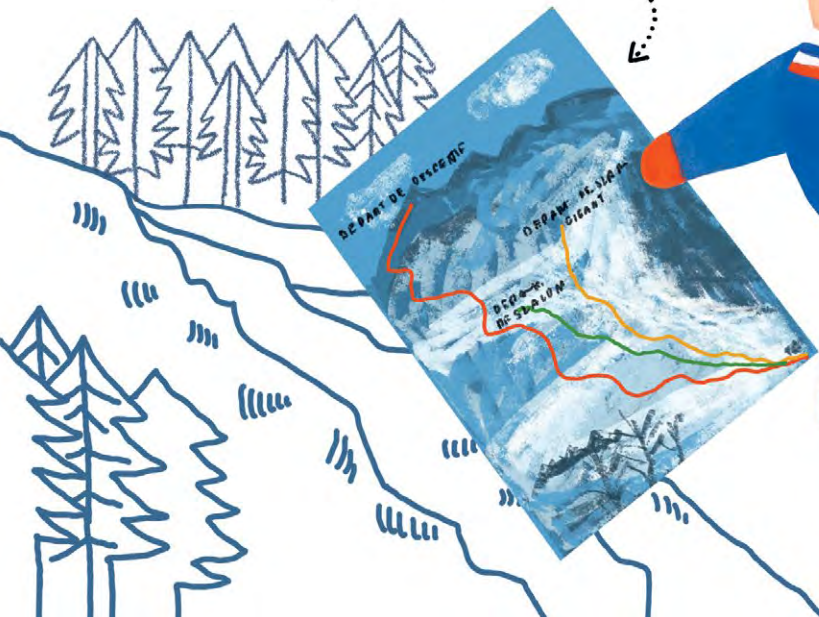
Amik – maskotka igrzysk olimpijskich w Montrealu (1976).
Bóbr to jeden z symboli Kanady.



Stadion olimpijski.



Pocztówka z Albertville.



Magique – maskotka zimowych igrzysk olimpijskich w Albertville (1992 rok).
Jest to chochlik górski w kształcie gwiazdy.



Katarzyna Wasilkowska

Ramiona szeroko otwarte

– Serio? Mam teraz robić za Czerwonego Kapturka? – mówi Pola i opuszcza dłonie na wysokość kolan.

– Jency! Mamo, ja pójdę! – woła z łazienki Stefa. – Albo przemówię jej do rozumu...

– Pola pójdzie – odpowiada mama stanowczo, choć łagodnie.

– Przecież chciałaś, żebym ogarnęła biurko – burczy Pola.

– Nadal chcę – zgadza się mama i wylicza: – Biurko, ten śmietnik spod biurka oraz brudne ciuchy upchnięte pod łóżkiem. O, chcę bardzo! Tak gdzieś od dwóch tygodni. Wytrzymam jeszcze jedno popołudnie.

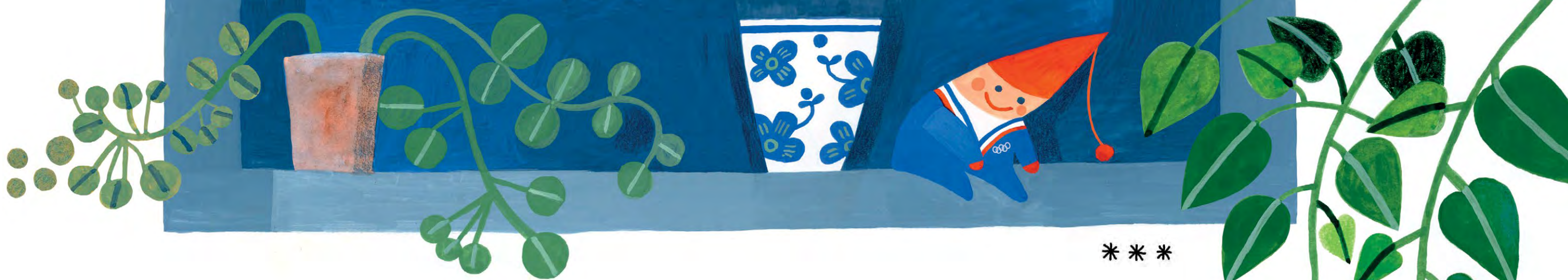
Pola zaciska zęby, ale zaraz wybucha:

– Myślisz, że nie wiem, o co ci chodzi? Pójdę, a ta baba zacznie mnie przekonywać! Nie jestem jakąś ofiarą losu!

– Oczywiście, że nie jesteś – mówi mama i wkłada do płóciennej torby dwa opakowania leków, słoik rozpuszczalnej kawy i pojemniczek ze swoimi obłędnymi ciastkami owsianymi. – Proszę, to nawet nie jest ciężkie. Trafisz, prawda?

Pola sięga gwałtownym ruchem i wrywa torbę z jej dłoni.





* * *

- Trochę ostrożniej, ciastka się pokruszą.
Trzaskają drzwi. Słysząc, jak Pola idzie po schodach, każdy krok podkreśla wściekłym tupnięciem.
- Stefa staje w drzwiach łazienki i patrzy, jak mama ściąga lekko kąciki ust.
- Ja też taka byłam? – pyta.
- Mama się uśmiecha.
- Na swój sposób oczywiście.
- Nigdy nie będę miała dzieci – oświadcza Stefa. – Mogłabym mieć takie małe, ale co z tego? Zwariowałabym, zanim skończyłyby jedenaście lat. Uwierz mi, współczuję rodzicom i nauczycielom. Wozić się z takimi niedorostkami, masakra.
- To mgnienie oka – macha ręką mama. – Czasem trzeba się na nowo nauczyć ze sobą rozmawiać, trochę potrenować cierpliwość, ale nie oddałabym tego za nic.
- Miłość, co? – Stefa ironicznie unosi brwi, ale jej oczy patrzą ciepło. – No, kocham Polę, wiadomo, ale czasem mam ochotę zrobić z nią porządek. Nie wiem, jak ty to wytrzymujesz.
- Jestem dorosła? – Mama odpowiada pytaniem i śmieje się. – Może dlatego nastolatki nie są rodzicami?
- Zapewne, ale jeśli sądzisz, że być rodzeństwem jest jakoś superłatwo, to jesteś w błędzie.

- Te, Amik! Śpisz?
- W pokoju słysząc tylko tykanie zegara.
- Amik! Jest środek dnia, ja tu konam z nudów! Śpisz, staruszk?
- Niezupełnie. – Bóbr z wielkiego afisza „Montreal 1976” wzdycha i nieznacznie porusza ogonem.
- Co niezupełnie, jak niezupełnie?! Śpisz albo nie śpisz, do diaska! – Magique, niebieski chochlik w czerwonej czapce, podskakuje w miejscu. Sprowokował przyjaciela, teraz na pewno nie pozwoli mu usnąć. Dla Magique’a nie ma nic gorszego niż nuda i bezruch. Od rana zrobił już trzysta gwiazd, sto pięćdziesiąt pajacyków, dwa razy po dwieście przysiadów, nie wspominając już o suchej zaprawie narciarskiej, którą obowiązkowo wykonuje każdego ranka. Nie żeby się zmęczył. Po prostu fajnie też czasem zamienić z kimś słóweczko. Amik, niestety, potrafi być strasznie irytujący. Nie dość, że się nie rusza, to przeważnie milczy jak cień.



AMIK
Montréal 1976

– Medytowałem – odpowiada bóbr. – W każdym razie usiłowałem.
– Ty wiesz? Ja nigdy nie pojmę, kto wpadł na pomysł, że możesz mieć coś wspólnego ze sportem, staruszk. – Magique posapuje, truchtając w miejscu. – Symbol kraju, rozumiem. Herb tu czy tam, jasne. Portrecik na monecie, spoko. Ale sport to ruch! Szybciej, wyżej, mocniej...
– Razem – wchodzi mu w słowo Amik.
– Co?
– Motto. „Szybciej, wyżej, mocniej – razem”, motto igrzysk. Odnoszę wrażenie, że zdarza ci się klepać, co ślina na język przyniesie, a czasem dobrze też pomyśleć. My, bobry, współpracujemy, gramy zespołowo, że tak powiem. Widzisz gdzieś tutaj moich ziomków? No, nie, dlatego mam inną misję.
– Wiszenie na plakacie? – parska chochlik i wykonuje salto (niezbyt udane). Opiera się o ścianę z książek i po raz pierwszy od rana zastyga w bezruchu. – Kogo ja oszukuję? Też mógłbym co najwyżej wystartować w konkurencji kurzenia się na czas. A Ona niech wstanie w końcu z tego łóżka! Odkąd leży, zapomina włączać telewizor, tylko krzyżówki i krzyżówki. Pooglądałbym narciarstwo alpejskie, jakąś lekkoatletykę czy choćby piłkę nożną... Ej! Słyszysz to? Słyszysz, Amik? Ktoś stoi przed drzwiami.



Pola stoi przed brązowymi drzwiami na parterze. Myśli o tych wszystkich okropnych historyjkach o pani Doboszek. Mama zawsze opowiada je ze śmiechem, ale Poli jakoś nie bawią. Do tej pory wystarczyło, że wymruczała „dzień dobry”, i sprawa załatwiona. Postanawia, że nawet nie przekroczy progu. Poda tylko torbę i pędem na górę. Wtedy słyszy:

– Pola? Proszę do środka.
Klamka jest duża i masywna, pod drobną dłoń Poli ani drgnie.
– Z życiem! – ponagla głos z wnętrza.
Pola kładzie torbę na wycieraczkę, staje na palcach, a potem obiema rękami naciska klamkę, pcha całym swoim ciężarem. Brzdęk! No, w końcu.

W przestronnym salonie panuje półmrok. Niedokładnie zaciągnięte zasłony wpuszczają światło słoneczne wąską smugą, która zdaje się przecinać pokój na pół. Za tą granicą, na kanapie, leży pani Doboszek, na niej gruby koc z podobizną gigantycznej głowy tygrysa. Plecy ma uniesione wysoko, podparła je chyba milionem poduszek. Pola w życiu nie widziała tylu poduszek naraz, w dodatku każda inna.

– Najpierw zrobisz mi kawę.
Jakie „najpierw”? Pola kuli ramiona.

Pani Doboszek wyjmuje z przyniesionej torby leki i odkłada je na półkę pod stojącym obok kanapy stolikiem. Ma tam takie zapasy, że mogłaby otworzyć małą aptekę. Pudełko z ciastkami kładzie na głowie tygrysa, a potem wyciąga w kierunku Poli słoik z kawą.

Dziewczynka ani drgnie. Wbija wzrok we wzorzysty dywan, na twarz opadły jej zbyt dawno niemyte włosy. W końcu nie wytrzymuje i szybko zerka na rękę ze słoikiem.

Pani Doboszek patrzy na nią spod równo przyciętej białej grzywki. Poli przychodzi do głowy, że sąsiadka wygląda jak pieczarka, która przypadkiem wyrosła na stercie poduch. Parska nerwowym śmiechem, a potem przerażona kuli się jeszcze bardziej. Gdyby mogła, zwinęłaby się w kłębek jak jeź albo pancernik.

– Mam tylko chore kolana, to nie jest zaraźliwe – mówi pani Doboszek i ponaglać macha słoikiem. – I w tej sekundzie przestań się garbić, nie mogę na to patrzeć.

Pola ma już tak dość, że wybucha:

– To po co pani patrzy?! Nie chciałam tu przychodzić i nie muszę pani słuchać! Wszyscy tylko chcą mnie zmuszać! I nie umiem robić kawy! – wrzeszczy i zaciska pięści.

W pokoju zapada głucha cisza, niemal słychać, jak srebrzyste drobinki kurzu tańczą w strumieniu słonecznych promieni.

– Wiesz ty co? – Pani Doboszek przekrzywia pieczarkową główkę i mruży oczy.
– A może tak kakao? Mam tam rozpuszczalne. Z zimnym mlekiem smakuje jak lody – dodaje, zniżając głos, jakby zdradzała Poli niebywały sekret kulinarny. – Rozejrzyj się w kuchni, znajdziesz wszystko, co trzeba: kubki, łyżeczki, mleko w lodówce, kakao w szafce. Łatwizna. A potem kawa dla mnie, uważasz? Pstryknij czajnik, w środku jest



dość wody, do kubka wsyp dwie łyżeczki i jak tylko czajnik się wyłączy, zalej wrzątkiem. Pomieszaj i gotowe. Na tyle chyba cię stać? I nie poparz mi się.

Pola stoi chwilę z rozdziawionymi ustami, po czym kręcąc z niedowierzaniem głową, bierze słoik z ręki pani Doboszek i człapie do kuchni.

* * *

– Widziałeś to? Słyszałeś? – emocjonuje się Magique. – Co za paskudne dziewczynisko! Już ja coś wymyślę, dam jej nauczkę. Wiesz co, Amik? Czuję, jakbym odzyskał moc z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku, moją uśpioną moc z Albertville! – Skrzat robi trzy gwiazdy, piruet i kończy efektownym telemarkiem.

– Uważaj, zaraz spadniesz z tej półki i Ona znowu znajdzie cię, kiedy zatkaś sobą rurę odkurzacza – mówi bóbr i dyskretnie wydłubuje drzazgę spomiędzy zębów.

Magique nieruchomieje w rozkroku.

– Znowu dobierałeś się do fikusa, kiedy nikt nie patrzył? – szeptem, wbijając w Amika oskarżycielski wzrok.

– Odrobinę – przyznaje bóbr. – Doprawdy nieznacznie, tak tylko, żeby całkiem nie wyjść z wprawy.

– Ha! Kto by pomyślał, że ktoś tu trenuje oprócz mnie. – W głosie chochlika górskiego pobrzmiewa echo satysfakcji. Natychmiast jednak się chmurzy. – Amik, co robimy? Nie możemy tego tak zostawić, ta młoda osoba musi ponieść te, no...

– Konsekwencje? – podrzuca bóbr.

– Tak, właśnie! – Magique przytrzymuje się brzegu regału i wychyla poza półkę, żeby być jak najbliżej wiszącego na ścianie kolegi.

– Wymyśl coś tym swoim rozumem, a ja już to wprowadzę w życie. Pokażemy smarkuli!



– Nie jestem przekonany – mówi bóbr.

– Zaraz! Nie było cię tutaj? Spałeś? Medytowałeś? Nie słyszałeś, jak ta dziewczyna zwracała się do Niej? – Magique z emocji nie może ustać w miejscu, ledwo udaje mu się zachować równowagę na krawędzi półki.

– Słyszałem, słyszałem, ale Ona też słyszała. Nie uważasz, że sobie poradzi? W razie czego wie, gdzie nas szukać – śmieje się cicho Amik. – Poza tym... Nie uważasz, że tę dziewczynkę coś boli? Że ma w środku jakiś cień?

* * *

Pola ostrożnie wnosi dwa duże kubki. Poszło jej zaskakująco sprawnie, ale nic dziwnego, pani Pieczarka Doboszek jest świetna w instruowaniu i wydawaniu poleceń.

– Siadaj tu, żebym cię dobrze widziała – mówi, wskazując wielki uszaty fotel, wypełniony, a jakże, poduszkami. Pola siada na brzeжку i chowa nos w swoim kubku.

W kuchni przez chwilę było lepiej, miała swoje zadanie do wykonania. Teraz znowu utkwiała gdzieś, gdzie bardzo nie chce tkwić, w dodatku po tym idiotycznym wybuchu. Czy jeśli nie będzie ruszała się dostatecznie długo, wtopi się w tło, wmiesza w otaczające ją poduszki?



Tymczasem pani Doboszek bierze łyk kawy.

– Idealna – stwierdza. – No, to czego nie masz zamiaru słuchać?

Pola czerwienieje. Chwilę czai się za firanę z włosów, ale w końcu podnosi głowę.

– Żebym chodziła na wuef – mówi zaczepnie.

– A dlaczego niby ja miałabym cię do tego zachęcać?

– Bo... bo... no przecież jest pani wuefistką! – jąka się Pola.

– Teraz, moja droga, jestem emerytką – prostuje się z godnością pani Doboszek, po czym otwiera pudełko z ciastkami od mamy i zaczyna chrupać z apetytem. Zachowuje się, jakby te ciasteczka i kawa były jedynymi rzeczami na świecie wartymi uwagi.

Pola nie wie, co bardziej ją denerwuje, czy to, że musi zachować czujność, bo nie wiadomo, kiedy nastąpi atak, czy może to, że spina się na darmo, bo żadnego ataku nie będzie. Wzdycha cicho.

– Często się, moja droga. – Pani Doboszek przerywa chrupanie. – Twoja mama jest mistrzynią wypieków. Do sportu nigdy nie miała takiego talentu, choć muszę przyznać, serca jej nie brakowało. Nie była przesadnie szybka ani zwinna, za to bardzo angażowała się w gry zespołowe. Tak, Ewunia potrafiła poświęcać się dla drużyny.

– Ja jestem szybka – wyrывa się Poli, po czym dodaje ciszej: – I dość zwinna, tylko...

Pani Doboszek jakby nie słyszała. Macza ciastko w kawie i cmoka z zadowoleniem.

Pola patrzy na ściany obwieszone fotografiami z różnych zawodów, są też plakaty sportowe. Przez chwilę ma wrażenie, że dostrzegła ruch na jednym z nich. Czy to możliwe, żeby drgnął ogon czarnego bobra przepasanego czerwonym pasem?

– Patrzyć na Amika? Mnie też zawsze kojarzy się ze współdziałaniem. To jedna z najwspanialszych cech sportu, praca na wspólny sukces.

*Równowaga
w sporcie -
umysł jest tak
samo ważny
jak ciało.*

– A ja myślałam, że w sporcie chodzi o pokonywanie – wzrusza ramionami Pola. – Pokazywanie, kto jest lepszy. Albo kto gorszy.

– No cóż, pewnie, ludzie mają różną motywację, każdego popycha co innego, ale nie zaliczyłabym takiego, jak to mówisz, „pokazywania” do chlubnych stron sportu...

– Tak, tak, pewnie chodzi pani o zdrowie, chlubą ma być zdrowie, pewnie – przerywa Pola. – Ale każdy wie, że najważniejsza jest rywalizacja, punkty, medale, całe to ściganie i... i oceny...

Pola milknie, chowa nos w kubku, zerka na bobra z plakatu. Pani Doboszek zamyka pudełko z resztą ciastek, odkłada na stolik, a potem długo i starannie zgarnia dłonią okruchy z głowy tygrysa. Bóbr z plakatu mruga do Poli. E, nie, na pewno jej się zdawało.

– Kiedyś byłam dobra w dwa ognie – mówi Pola z nosem w kubku (ale na wszelki wypadek nie spuszcza wzroku z plakatu).

– Kiedyś, czyli kiedy? W przedszkolu? – pyta pani Doboszek.

– W pierwszej klasie, w drugiej, w trzeciej nawet.

– A co się stało w czwartej?

– Nie wiem. Urosłam. Zrobiłam się brzydka i niezdarna. Okropna. Mam ohydne ramiona i wstrętne nogi.

– Kto ci tak powiedział?

– Nikt! – woła Pola. – Mam lustro. Gdy biegnę, wszyscy się gapią, nie mogę złapać piłki, mam całkiem dziurawe ręce! A jak rzucam, to niecelnie...

– Myślisz, że tak nagle się zepsułaś w czwartej klasie?

– Nic nie myślę! Chcę być niewidzialna i już! Albo przynajmniej przestać chodzić na wuef, nie mam zamiaru przebierać się w szatni już nigdy, nigdy więcej.

– A ja podejrzewam, że w szatni jesteś całkiem niewidzialna.

Pola już nie patrzy na plakat. Wbija wzrok w panią Pieczarkę i zaczyna się zastanawiać, czy ona może ma coś z głową. Ludziom to się czasem zdarza, możliwe, że chorym emerytkom nawet częściej niż innym.

– Widzisz, ja rzeczywiście bardzo długo uczyłam w szkole. Widziałam niejedną przebieralnię. I wiesz co? Jakoś tak jest, że dziewczynki w czwartej klasie zaczynają się

wstydić. Nie nadążają za swoim ciałem. Bo ciało nagle przyspiesza, zaczyna szybciej rosnąć. Skupiasz się na sobie, na tym, żeby się ukryć, i nie zauważasz, że twoje koleżanki robią dokładnie to samo. Przebieracie się szybko i niedbale, żeby was przypadkiem nikt nie zauważył. A przecież nikt nie patrzy, bo każda z was skupiona jest na samej sobie. To się niedługo zmieni. Przekonasz się, że wszystko z tobą w porządku, że jesteś, podobnie jak twoje koleżanki, śliczna i zdrowa.

Pola nie jest do końca przekonana, ale nie ma zamiaru się kłócić. Przemyśli to sobie w domu. Tymczasem zauważa galerię portretów pięknych młodych ludzi. Wyglądają na zmęczonych i szczęśliwych.

– Uczyła ich pani? – pyta.

Pani Doboszek zerka na fotografie.

– Niestety nie. Ale bardzo im kibicuję.

– Takim to wszystko się udaje – mówi Pola, a jej głos brzmi gorzko.

– W końcu się udaje – zgadza się starsza pani. – Jednak nie od razu.

– Jak to?

– Patrz, ta dziewczyna w ciemnym kucyku to Joasia Jóźwik. Zaczynała w szkole od siatkówki, koszykówki, lubiła ruch, nie potrafiła usiedzieć w miejscu, ale nic nie pociągało

jej na tyle, żeby trenować. To jej wuefista dostrzegł, że ma potencjał. Niestety, potencjał to trochę za mało. Polecił ją do klubu, kazali jej biegać, a z Joasi był leniuch, uciekła z klubu.

– Uciekła?

– Powiedziała, że nie ma zamiaru się męczyć na darmo, że nie widzi w tym sensu. Wuefista zaczął ją przekonywać. Widział jej talent, wierzył w nią, choć ona w siebie wcale. Miała wtedy czternaście lat, ustąpiła, wróciła do klubu, choć niechętnie. Pomogło jej trochę, że była z nią bliska koleżanka, wspierali ją też rodzice. Ani się obejrzała, jak treningi tak ją wciągnęły, że nie wyobrażała sobie życia bez nich. I całe szczęście, bo nie mielibyśmy świetnej olimpijki i medalistki.



Joanna Jóźwik – polska lekkoatletka, olimpijka z Rio de Janeiro (2016).

Pola przygryza wargę.

– A ta dziewczyna o ciemnej skórze? To też Polka?

– Nie, to Amerykanka Simone Biles. To niesamowita gimnastyczka, nauczyła się takich ewolucji, jakich nikt inny na świecie nie był w stanie wykonać. Ile masz wzrostu?

– Sto pięćdziesiąt pięć centymetrów. Urosłam ostatnio, w klasie jestem tak pośrodku.

– Simonka ma tylko sto czterdzieści sześć centymetrów i jest dorosła, już nie urośnie. Zamieniła to w swój atut. Jest lekka i skoczna.

– No tak, to jej łatwiej – mówi Pola.

– Wybrała coś odpowiedniego do swoich warunków fizycznych. Jednak czy było jej łatwiej? Nie powiedziałabym. Bez ciężkiej pracy nie da się osiągnąć takich wyników.

– Oj tam, musiała to po prostu bardzo lubić.

– Hm, pewnie tak. – Pani Doboszek patrzy na zdjęcie w zamyśleniu. – Można powiedzieć, że sport uratował jej życie.

– Jak to?

– Miała straszne dzieciństwo, jej rodzice byli uzależnieni od narkotyków, w ogóle się nią nie interesowali, była głodna i zaniedbana, a jako mała i drobna dziewczynka mogła nie przetrwać na ulicy.

– To straszne! Kto jej pomógł?

– Dziadek. Zabrał ją do siebie i pomógł zacząć trenować. Musiała pracować naprawdę ciężko, skoro już jako szesnastolatka zdobyła mistrzostwo świata.

Pola czuje, jak do oczu napływają jej łzy.

– Nie wiem, czybym tak umiała, za bardzo się wstydzę...

– Tak jak ci mówiłam, większość dziewczynek wstydi się siebie, kiedy wchodzi w nastoletni wiek. Zobacz, inna nasza olimpijska biegaczka, Ania Kiełbasińska, jest całe życie chora, z tego powodu między innymi traciła włosy. Miała też depresję...



Simone Biles – amerykańska gimnastyczka, zdobyła 11 medali olimpijskich, w tym 7 złotych.



- Mimo tych medali? – Pola wskazuje fotografię uśmiechniętej dziewczyny.
- Depresja to choroba. Pomogli jej psychologowie, dietetycy, no i powrót do treningów.
- Chce pani powiedzieć, że sport jest lekarstwem na wszystko?
- Nie, jednak z pewnością pomaga w życiu. Przede wszystkim w dojściu do ładu z sobą samym. Właśnie, wróćmy do twojego wuefu. Ja też lubiłam dwa ognie – mówi dalej pani Doboszek i sięga po jedną z poduszek. – Odstaw kubek, moja droga. Łap poduszkę! – woła i rzuca.

Pola wyciąga przed siebie bezładnie ręce, poduszka odbija się od rozcapierzonych dłoni i spada na ziemię.

- Tak myślałam – kiwa pieczarkową głową pani Doboszek. – Nie możesz się zdecydować, czy chcesz łapać piłkę, czy się przed nią zasłaniać.

- Kiedyś nie bałam się piłki, a teraz nie chcę oberwać i nie umiem złapać – wyznaje Pola. – Mam już dwie jedyne i dwa minusy.

Pani Doboszek fuka z niezadowoleniem.

- Ocenę! Nienawidziłam ocen! Czy ty wiesz, moja droga, co jest najważniejsze w sporcie, oprócz tego współdziałania i zdrowia, o którym raczyłaś wspomnieć?

- No rywalizacja, pokonywanie innych...

- Pokonywanie, zgoda, ale nie innych, nie innych!

- A kogo?

- Siebie oczywiście. Sport służy doskonaleniu człowieka na jego własny użytek, no, może trochę po to, żeby wszystkim było lepiej. Takie są podstawy idei fair play, musiałaś o tym słyszeć. Wróćmy do piłki. Wiesz, czemu kiedyś się udawało, a dziś



nie? Przedtem myślałaś o piłce, koncentrowałaś się na niej, dziś skupiasz się na sobie, na swoim ciele. A to, żeby nie oberwać, a to, żeby ktoś nie uznał, że wyglądasz niezgrabnie. Wróć do piłki, zjednocz się z nią. Kiedy biegiesz, czuj ziemię pod stopami, czuj pęd wiatru, nie myśl o czasie, bądź biegiem. Kiedy skaczesz...

- ...bądź skokiem. – Pola uśmiecha się po raz pierwszy, odkąd tu przysła. Nie jest pewna, czy rozumie, ale chyba zaczyna wiedzieć, o co chodzi pani Doboszek.

- Właśnie! – śmieje się sąsiadka i rzuca drugą poduszką.

Tym razem Poli udaje się ją złapać, choć dość niezgrabnie.

Za jej plecami słychać pacnięcie. Pola wychyla się za fotel. Na podłodze leży niebieski pajacyk w kształcie rozgwiazdy. Ma czerwoną czapeczkę.

- O, widzisz, spójrz na Magique'a! Tak bardzo chciał coś powiedzieć, że znowu fikał z półki. Nie zauważyłam, kiedy spada, potem podczas sprzątanego wciągamy go do odkurzacza. Nie może usiedzieć na miejscu, za mało się u mnie dzieje, a on ma w sobie tyle energii. Weź go ze sobą. Widzisz jego szeroko otwarte ramiona? Tak wychodzi naprzeciw piłce! Magique będzie ci przypominał, jak to się robi. To chochlik górski z Albertville, maskotka olimpijska z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku. Ciebie jeszcze wtedy nie było na świecie.

- Taki stary?

- Najmłodszy nie jest, ale w wyśmienitej kondycji, możesz mi wierzyć. No, moja droga, dosyć tego gadania, mam tu jeszcze kilka poduszek. Łap!





Frygijka - maskotka w kształcie czapki frygijskiej, symbol Republiki Francuskiej, rewolucji i wolności.

Vinicius - mieszanek zwierząt pochodzących z Brazylii. Symbolizuje energię i radość życia, jaką emanują Brazylijczycy.



Miraitowa - dwa japońskie wyrazy *mirai* (przyszłość) oraz *towa* (wieczność) składają się na nazwę maskotki Język XXXII Olimpiady Tokio 2020.



Marcin Szczygielski



Olek obudził się nagle. W jego pokoju panował półmrok, bo poprzedniego wieczoru zaciągnął roletę. Sięgnął po komórkę.

– Szósta! – jęknął i odłożył telefon.

A miał spać do oporu! Był pierwszy dzień wakacji, których największym plusem – zdaniem Olka – był brak konieczności wstawania o świcie.

Obrócił się na drugi bok, zakrył poduszką głowę i zamknął oczy, choć wcale już nie czuł senności. Leżał tak przez dłuższą chwilę, słuchając, jak bije mu serce i krew szumi w uszach, wreszcie usiadł na łóżku, z irytacją odgarniając kołdrę. Wstał, wciągnął dres i odsłonił okno. Słońce już wzeszło, niebo miało odcień jaskrawego błękitu i nie było na nim najmniejszej nawet chmurki. Biała mewa siedziała na dachu drewnutni i gapiła się na Olka.

– Sio! – powiedział półgłosem.

Przechyliła łepkę, zupełnie jakby go słyszała, i spojrzała w dół. Mama Olka właśnie przechodziła przez podwórko. Przystanęła przy drewnutni i popatrzyła



*Sport jest
wspaniałą przygodą
dzięki radości z wysiłku
oraz możliwości
poznania samego siebie
i swoich możliwości.*



Wyszedł ze swojego pokoju, zszedł po stromych, skrzypiących drewnianych schodach na parter i zajrzał do kuchni. Na stole czekał na niego przykryty szklanym kloszem talerz z kanapkami, obok którego stał termiczny kubek z gorącym kakao.

– Paprykarz! – Olek skrzywił się, podnosząc klosz. – A to co? Jajko na twardo z majonezem. No, może być.

Sięgnął po kajzerkę, zabrał termos i wyszedł na ganek. Usiadł na wiklinowej sofce i pogryzając kanapkę, popatrzył ponurym wzrokiem na mewę, która jak zahipnotyzowana gapiała się na jego śniadanie.

– I co ja mam robić? – mruknął do siebie.

To jest największy minus mieszkania tam, gdzie wszyscy spędzają urlopy i wakacje – nie ma dokąd wyjechać, gdy się ma wolne! A Olek i jego mama mieszkali nad morzem. Olek lubił morze, kochał swoją mamę i ogólnie był bardzo zadowolony z życia. Jednak tylko podczas roku szkolnego. Wakacje były koszmarem! Do Rumian zjeżdżały wtedy tłumy turystów, a mama od świtu do nocy siedziała w smażalni. Całe szczęście, że mieli taki mały dom, bo pewnie chciałyby wynajmować pokoje letnikom, podobnie jak rodzice niemal wszystkich kolegów Olka z Rumian. Przynajmniej w domu nie kręcił się więc nikt obcy, ale co z tego? Nie było nawet rutera, który mama zabierała do smażalni! Bo przecież klientom należało się wi-fi! A Olkowi nie!

na okno syna. Odsunął się błyskawicznie. Tylko tego jeszcze brakowało, żeby zorientowała się, że już wstał! Po chwili rozległ się dźwięk uruchamianego silnika, strzelił gaźnik i auto mamy odjechało spod domu. Olek odetchnął z ulgą. Na pewno nie miał zamiaru pierwszego dnia wakacji spędzić w rozpalonej kuchni maminej smażalni! Co to to nie! Owszem, obiecał, że czasami będzie tam pomagał, ale przecież nie pierwszego dnia wakacji!

Jego koledzy albo pomagali rodzicom przy turystach, albo porozjeżdżali się na obozy, kolonie czy do swoich rodzin, mieszkających w miastach lub w górach. On, jak co lato, został w Rumianach całkiem sam, w dodatku bez internetu. Mamy nie było stać na opłacenie obozu dla syna, nie mieli też żadnej rodziny, do której mógłby pojechać. Poza tym musiał pomagać w smażalni. Czasami, czyli co najmniej trzy razy w tygodniu. Co najmniej.

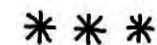
– No i co ja mam robić? – powtórzył rozżalony Olek i cisnął kawałkiem kajzerki w mewę, która błyskawicznie pochwyliła smakowity kąsek, po czym odleciała.

Otrzeptał ręce, upił łyk słodkiego kakao z termicznego kubka i wstał. Przeciągnął się i ruszył przez podwórko do bocznego wyjścia za drewnutnią, które prowadziło na wydmy. Przy furtce zatrzymał się na moment i obejrzał na dom.

– Nie zamknąłem drzwi na klucz – mruknął do siebie, a potem wzruszył ramionami. – Ale przecież i tak nie mamy nic cennego, a o tej porze plaża jest pewnie jeszcze całkiem pusta. Przebiegnę się i wrócę raz-dwa.

Przeszedł przez furtkę i ruszył piaszczystą ścieżką, wijącą się między kępami wysokich traw i kolczastych krzewów dzikich róż. Mewy krzyczały, wiatr targał mu włosy. Morze szumiało. Jeszcze tylko parę zakrętów, a potem...

Olek zatrzymał się jak wryty i wytrzeszczył oczy na widok zdumiewającej srebrzystej konstrukcji, która wypełniała szerokie na kilkanaście metrów zagłębienie między wydrami.



– To na pewno tu? – Frygijka z powątpiewaniem wpatrywała się w trójwymiarowy ekran.

– Na dwieście procent – przytaknął Miraitowa, odłączając się od panelu sterującego. – Potencjał ukrytej energii wynosi w tym miejscu między trzysta a trzysta siedemdziesiąt jednostek.

– Nic tu nie ma. Widzę tylko piasek – stwierdziła Frygijka.



– Ja natomiast widzę tu przestrzeń! – wykrzyknął radośnie Vinicius, po czym zeskoczył ze swojego fotela i zaczął wywijać fikołki w całej kabinie. – Czy już wychodzimy?! Wychodzimy?! Chcę wyjść!

– Wychodzimy – przytaknął Miraitowa i odblokował drzwi prowadzące do śluzy. – Frygijka, chodź.

– Czy to na pewno rozsądne? – zastanawiała się na głos Frygijka. – Czy ktoś nie powinien zostać na straży sportera?

– Przecież nikt go nie ukradnie! – Miraitowa zbył jej obawy machnięciem łapki. – Beze mnie to tylko metalowa puszką. Jestem nie tylko pilotem, ale i napędem.

– Owszem, ale tylko jeśli chodzi o teleportację – zgodziła się z nim Frygijka, a potem wskazując centralny silos, dodała: – Pozostałe systemy zasila energia płomienia olimpijskiego.

– Chcę wyjść! Chcę już wyjść! – Vinicius skakał jak szalony po całej kabinie.

– Jesteś zbyt rozważna – stwierdził Miraitowa.

– A ty za bardzo wierzysz w siebie – odparła Frygijka. – Ale jak chcesz. Ja umyłam różki!

Zewnętrzne drzwi śluzy rozsunęły się z sykiem i Vinicius niczym żółto-błękitno-zielony płomień wystrzelił ze sportera.

– Co to za kraj? – zapytała Frygijka, zeskokczywszy z rampy na ciepły piasek.

– Polska – wyjaśnił Miraitowa.

– O! – zdziwiła się Frygijka. – Skoro tak, to rzeczywiście może być tu potencjał.

– Wszędzie może być potencjał – upomniął ją Miraitowa.

– Jakie niebo! Jaki piasek! – wykrzykiwał Vinicius, wymachując swoimi nieprawdopodobnie długimi łapkami. – A jakie słońce! Co za piękne miejsce!

– Owszem, wszędzie. – Frygijka nie pozwoliła zmienić tematu. – Ale Polska to Halina Konopacka...

– Pierwsza polska złota medalistka olimpijska! – krzyknął Vinicius, stając na głowie.

– Podczas igrzysk olimpijskich w Amsterdamie w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym roku ustanowiła rekord świata w rzucie dyskiem – wyrecytował Miraitowa.

– Aleksandra Król-Walas... – wyliczała dalej Frygijka.

– Polska snowboardzistka, trzykrotna olimpijka! – zawołał Vinicius.

– Wywalczyła brązowy medal mistrzostw świata w slalomie gigancie równoległym w dwa tysiące dwudziestym trzecim roku – doprecyzował Miraitowa. – Wielokrotnie stała na podium zawodów Pucharu Świata, zdobyła też złoty medal zimowej uniwersjady.

– Piotr Lisek... – wtrąciła Frygijka.

– Skok o tyczce! – Vinicius przeskoczył nad nią zręcznie.

– Iga Baumgart-Witan...

– Mistrzyni olimpijska w sztafecie mieszanej cztery razy czterysta metrów! – Vinicius czterokrotnie okrążył sporter z nieprawdopodobną prędkością.

– Jacek Wszoła...

– Złoty medalista igrzysk olimpijskich w skoku wzwyż! – oznajmił Vinicius, po czym przysiadł, odbił się od ziemi i skoczył w górę na dobrych kilkanaście metrów.

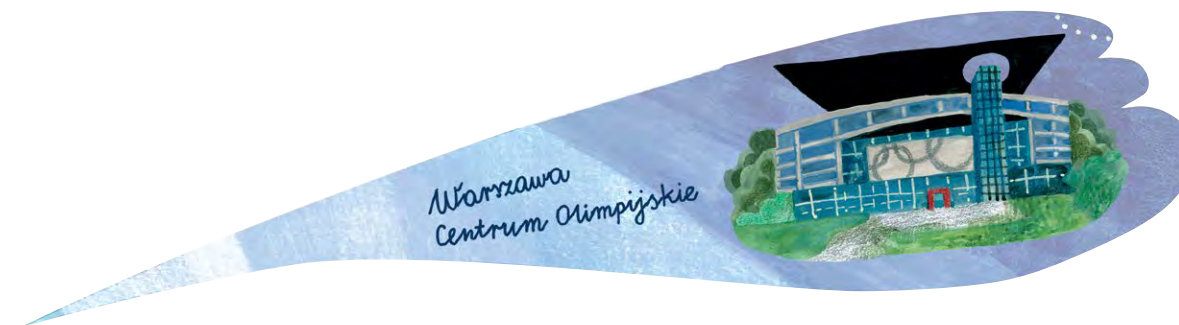


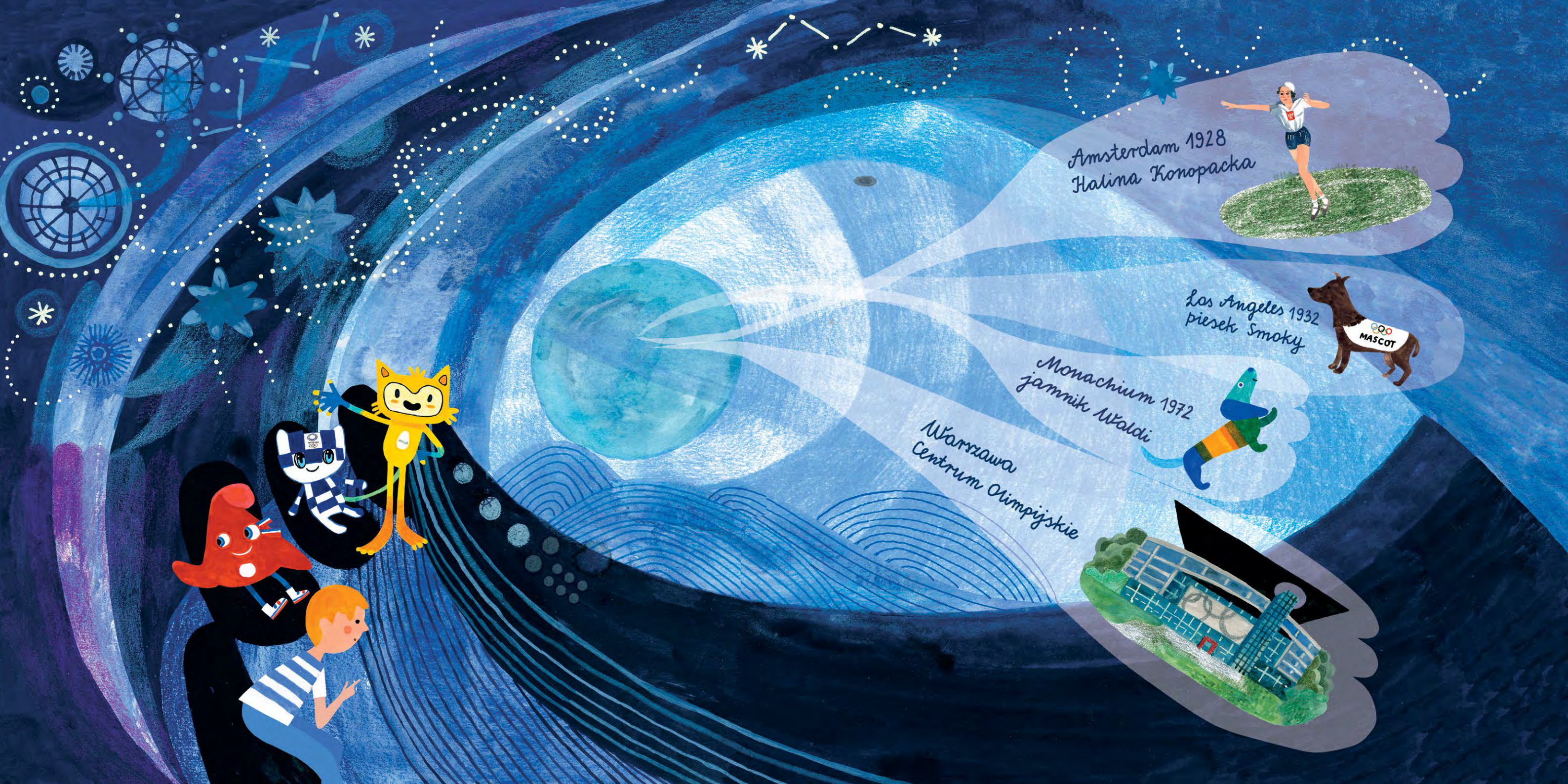


- Piotr Żyła...
- Polski skoczek narciarski, olimpijczyk z igrzysk w Soczi i Pekinie.
- Moi drodzy! – Miraitowa wziął się pod boki i tupnął z irytacją. – Jeżeli macie zamiar wymienić wszystkich polskich olimpijczyków, spędzimy tu kilka dni!
- Dobrze, już dobrze. – Frygijka pokiwała ugodowo swoim czerwonym czubkiem.
- Dokąd zatem?
- Miraitowa przymknął oczy, potarł łapkami skronie i pomyślał przez chwilę.
- Odczyt jest niepewny – oświadczył wreszcie.
- Jak to niepewny?! – Frygijka załamała rożki. – Chcesz powiedzieć, że niepotrzebnie się tu teleportowaliśmy?
- Potrzebnie! – zawołał Vinicius. – Spójrzcie tylko, jak ładnie!
- Nie mówię, że niepotrzebnie. – Miraitowa zastrzygł uszami. – Być może stoimy zbyt blisko płomienia olimpijskiego i to zakłóca mój receptor. Odejdźmy od sportera.
- Chodźmy na plażę! – zaproponował rozpromieniony Vinicius. – Chcę się przekonać, czy jest równie piękna jak Copacabana i Ipanema w Rio!
- No, nie wiem... Nie zakamuflowaliśmy się. Ktoś nas może zobaczyć – zawahała się Frygijka.
- Jest szósta trzydzieści, początek wakacji w Polsce – oznajmił Miraitowa. – O tej porze wszyscy jeszcze śpią. A jeśli nawet nie śpią, na pewno nie zwrócą na nas uwagi, bo mają ważniejsze rzeczy na głowie. Idziemy!
- Frygijka, Miraitowa oraz brykający wokół nich radośnie Vinicius ruszyli w stronę zejścia na plażę i po chwili zniknęli między wydrami. Olek, który ukrywał się nieopodal, kucając za rozłożystym krzewem dzikiej róży, podniósł się i wyszedł na ścieżkę.
- UFO – szepnął do siebie, a potem popatrzył na szeroko otwartą szluzę sportera. – Ciekawe, czy mają wi-fi...



- Widzieli nas! – biadoliła Frygijka.
- I co z tego? – Miraitowa wzruszył ramionami, podłączając się do interfejsu. – Wzięli nas za zabawki.
- Ta plaża jest śliczna, ale w niczym nie przypomina Copacabany – dziwił się Vinicius.
- Trudno, żeby przypominała – odezwał się Miraitowa. – Rio de Janeiro leży nad Oceanem Atlantyckim, a polskie Rumiany nad Morzem Bałtyckim.
- O czym wy w ogóle mówicie?! – zdenerwowała się Frygijka. – Nie odnaleźliśmy celu wyprawy, nie wypełniliśmy misji i zostaliśmy dostrzeżeni przez ludzi w naszej rzeczywistej postaci! Taka porażka, a wy dyskutujecie o przyrodzie!
- Raczej o geografii – poprawił ją Miraitowa, zamyślił się na moment i dodał: – Dziwne. Odczyt ponownie wskazuje bardzo silne skupisko ukrytej energii sportowej. I to znajdujące się niezwykle blisko.
- Niezwykle blisko to ja jestem utraty panowania nad sobą! – wycedziła Frygijka i krzyknęła do Viniciusa: – Przestań z tymi koziołkami! Siadaj wreszcie!
- To były fikołki... – mruknął urażony Vinicius i posłusznie zajął miejsce w swoim fotelu.
- Ale odczyt wskazuje...





Amsterdam 1928
Halina Konopacka



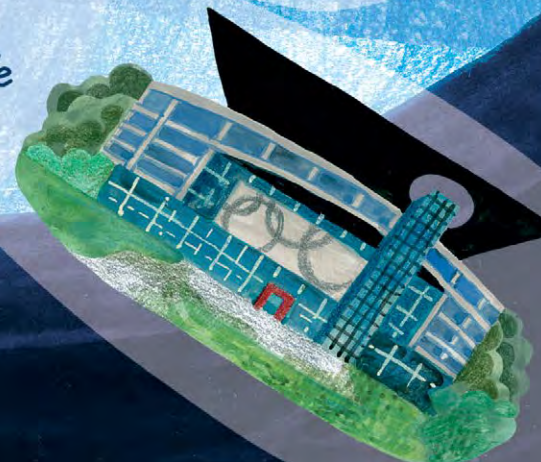
Los Angeles 1932
piesek Smoky



Monachium 1972
jammik Waldi



Warszawa
Centrum Olimpijskie



Czteroletni okres pomiędzy igrzyskami nazywany „Olimpiadą” był w starożytnej Grecji jednostką rachuby czasu. Uważany jest sposób zapisu:

1896 rok - Igrzyska I Olimpiady w Atenach
2024 rok - Igrzyska XXXIII Olimpiady w Paryżu

– Miraitowa! – huknęła Frygijka, coraz mocniej czerwieniejąc. – Przyjmij do wiadomości, że to błędny odczyt! Wracamy do Centrum Olimpijskiego i oddajemy sportera do przeglądu! Ale już!!!

Opadła na swój fotel i zapinając pasy bezpieczeństwa, zaczęła narzekać rozzalonym tonem:

– Dlaczego to ja muszę być wiecznie tą rozważną i rozsądną? Też bym sobie poskałała jak wariatka i miała wszystko w rondzie!

– Nie mam wszystkiego w rondzie! – sprzeciwił się Vinicius. – Po prostu jestem radosny.

– Tak. A ja jestem ponura!

– Nie jesteś. Przestań dramatyzować – uciął Miraitowa. – Uwaga! Wprowadzam

koordynaty skoku. Cel: Centrum Olimpijskie. Trzy, dwa, jeden...

Schowany za kolumną silosu Olek pobladł z przerażenia, gdy stalowa podłoga zawibrowała pod jego stopami, a siła odśrodkowa nagle pchnęła go na słup. Objął go kurczowo, gdy nagle światła rozbłysły oślepiająco, po czym sporter zawirował z taką siłą, że nawet Miraitowa krzyknął przestraszony. Pasażerowie poczuli się tak, jakby znaleźli się w windzie, która spada z wysokości dziesiątek metrów.

– Już po nas! – wrzasnęła Frygijka.

Nagle wszystko znieruchomiło. Światła załśniły czerwienią i zgasły. Zapadła całkowita cisza.

– Czy już nie żyjemy? – zapytał Vinicius.

– Bzdura! – odparł Miraitowa, siląc się na dziarski ton. – Doszło do przeciążenia i chyba... Zaraz... Gdzie my jesteśmy?

– Nie wiesz, gdzie jesteśmy?! – wykrzyknęła Frygijka.

– I kiedy...

– Nie wiesz, kiedy jesteśmy?! – wykrzyknęła znów Frygijka.

– Momencik!

Miraitowa zamknął oczy i skupił się. Zabłysła pierwsza dioda w pulpicie sterowniczym, potem druga, trzecia, aż wreszcie włączyło się awaryjne zasilanie sportera.

– Jest rok tysiąc dziewięćset dwudziesty czwarty – metalicznym głosem poinformował Miraitowa, łącząc się z centralnym serwerem pojazdu. – Igrzyska Ósmej Olimpiady.

– Och, jestem w domu! – ucieszyła się Frygijka, ale szybko spoważniała. – Ojej! To jest jeszcze przed naszą erą! To znaczy przed erą maskotek...

– Pierwszą oficjalną maskotką olimpijską był jamnik Waldi podczas Igrzysk Dwudziestej Olimpiady w Monachium w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku – odezwał się Miraitowa.

– A pierwszą nieoficjalną sznaucek Smoky z Igrzysk Dziesiątej Olimpiady w Los Angeles w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku – dodał Vinicius.

– Cudownie, że obaj tyle wiecie o naszych przodkach – skwitowała Frygijka. – Ja jednak chciałabym wiedzieć, dlaczego tu i teraz się znaleźliśmy!

Miraitowa przeszukiwał błyskawicznie zapisy w komputerze pokładowym sportera i analizował gwałtowny skok mocy, który wyrzucił ich z zaplanowanej trasy aż tak niewiarygodnie dawno i daleko.

– Czy coś wyróżnia akurat te igrzyska? – zapytał Vinicius.

– Poniekąd – mruknął Miraitowa, wciąż szczytując dane. – To pierwsze letnie igrzyska olimpijskie, w których wzięła udział Polska.

– Cóż za przypadek! – zdumiał się Vinicius. – A my właśnie z Polski tu przybyliśmy!

– Obawiam się, że to nie jest przypadek... – zamyśliła się Frygijka.

– Oczywiście, że nie – zgodził się z nią Miraitowa i oznajmił: – Nie jesteśmy sami.

– We wszechświecie? – wykrzyknął Vinicius, łapiąc się za łepkę.

Miraitowa zignorował jego pytanie. Odłączył się od interfejsu i obrócił ze swoim fotelem w stronę silosu z płomieniem olimpijskim.



– Możesz wyjść! – zawołał.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Wreszcie zza kolumny wyłoniła się potargana głowa Olka, który popatrzył na Miraitowę, Frygijkę i Viniciusa z przestachem.

– Dzień dobry – odezwał się po dłuższej chwili. – Od razu zaznaczam, że ja nie chciałem.

– To człowiek! – wrzasnęła Frygijka, zasłaniając oczy rękami.

– Nie. – Miraitowa pokręcił głową, po czym dodał: – To znaczy tak. Oczywiście jest człowiekiem. Właściwie dzieckiem...

– O, przepraszam! – oburzył się Olek. – Jakim dzieckiem?! Mam już jedenaście lat!

– Ale nie tylko – ciągnął Miraitowa. – To jest również nasz cel!

– Cel? – zdumiał się Vinicius. – Chcesz powiedzieć, że to jego szukaliśmy?

– Stąd te błędne odczyty! – wykrzyknęła Frygijka. – Szukaliśmy źródła utajonej energii w pewnej odległości od sportera, a ono było tutaj!

– Właśnie! I jego energia dołączyła do energii płomienia, przez co wyrzuciło nas z trasy!

– Czy teraz będziecie przeprowadzać na mnie potwornie makabryczne eksperymenty? – zapytał żałośnie Olek.

– Zwariowałeś? – Vinicius roześmiał się serdecznie. – Dlaczego mielibyśmy na tobie eksperymentować?!

– Nie jesteście kosmitami?

– Skąd! – Frygijka machnęła różkiem. – Co za niedorzeczność! Jesteśmy supermaskotkami olimpijskimi i przybywamy z misją sportową. Wyszukujemy utajonych potencjalnych mistrzów olimpijskich i zachęcamy ich do działania.

– Do sportu – sprecyzował Vinicius.

– Do sportu? – zdumiał się Olek. – Ale ja...

– Wracamy do dwudziestego pierwszego wieku? – zapytał Miraitowa.

– Już? – Vinicius posmutniał.

– Ale ja... – próbował wtrącić Olek.

– Nie tak prędko – przerwała mu Frygijka. – Skoro już znaleźliśmy się w Paryżu, niech chłopak zobaczy występ polskich kolarzy. Zdobyli tu olimpijski medal dla jego kraju!

– I to srebrny – podkreślił Miraitowa.

– Ale...

– Tak jest. Trzeba tylko chłopaka przebrać! Nie może pokazać się na ulicy Paryża w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym roku w dresie!

– My też musimy się zakamuflować.

– Wyjdziemy jako małpka w czerwonej czapeczce i kot! – zawołał Vinicius.

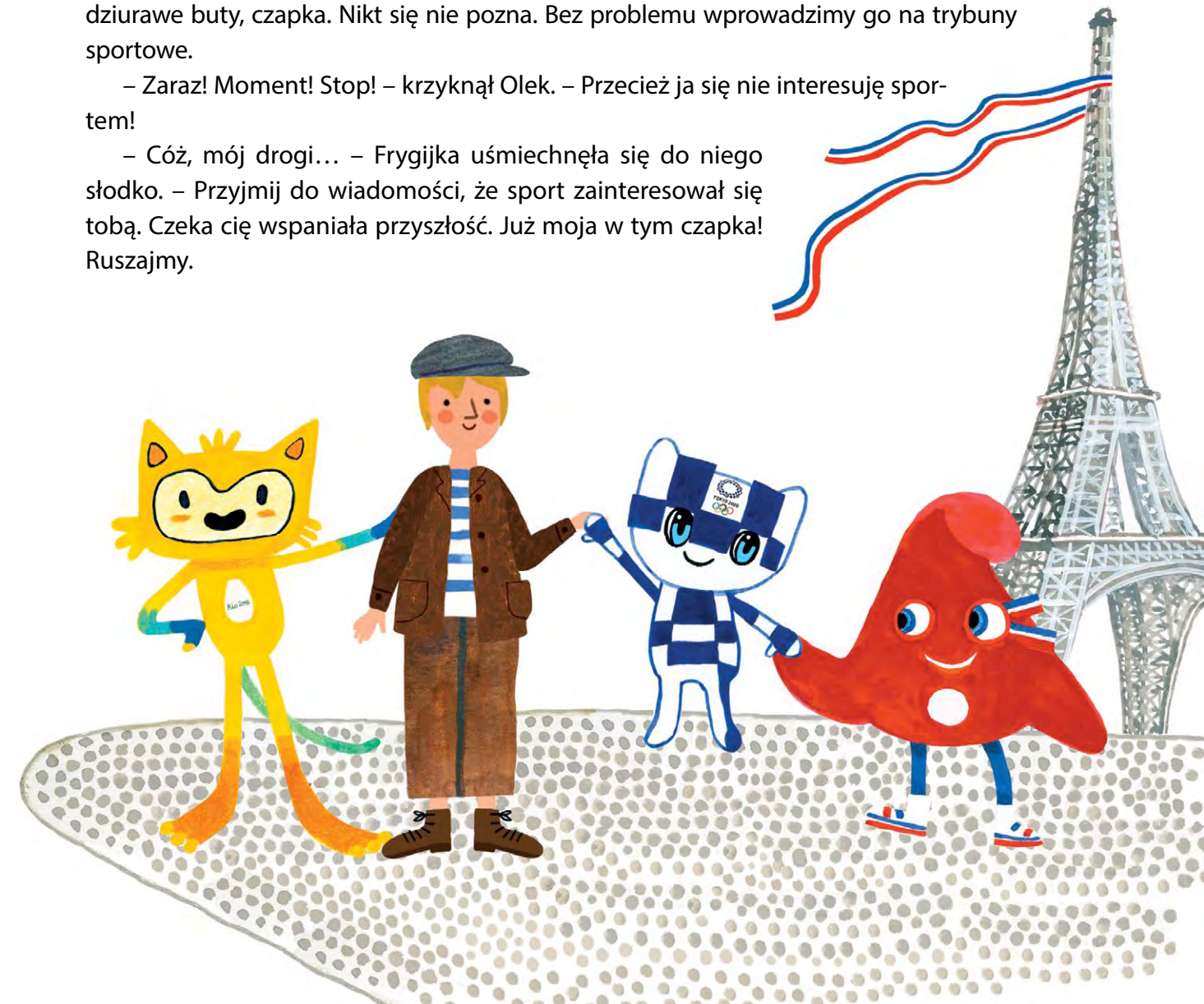
– Świetnie. A jego przeberzmy za Gavroche'a – zaproponowała Frygijka.

– Za co? – zdumiał się Olek.

– Za kogo – sprostowała. – Gavroche to taki paryski łobuziak. Za duże portki, dziurawe buty, czapka. Nikt się nie pozna. Bez problemu wprowadzimy go na trybuny sportowe.

– Zaraz! Moment! Stop! – krzyknął Olek. – Przecież ja się nie interesuję sportem!

– Cóż, mój drogi... – Frygijka uśmiechnęła się do niego słodko. – Przyjmij do wiadomości, że sport zainteresował się tobą. Czeka cię wspaniała przyszłość. Już moja w tym czapka! Ruszajmy.





Yoggl – maskotka I Zimowych Młodzieżowych Igrzysk Olimpijskich Innsbruck 2012 miała przypominać, jak ważne są wartości olimpijskie: przyjaźń i szacunek.



Skocznia narciarska w Innsbrucku.

Rowerowe pogotowie ratunkowe

Czy można powiedzieć „Ależ to był świetny dzień!”, gdy jest jedenasta i ten dzień dopiero się zaczyna? No pewnie! W każdym razie Nikodem tak właśnie uważał. Miał wprawdzie obolałe nogi i obtarte kciuki, był spocony jak koń wyścigowy, ale za to na jego piersi dyndał złoty medal. Prawdziwy! Lśnił w promieniach słońca, a gruba, czerwona wstęga krzyczała: „Oto idzie mistrz!”. Nawet rower Nikodema – stara, srebrna szosówka z oponami cienkimi



jak żyletki – prezentował się uroczyście. Chłopiec prowadził go, bo cieniutkie opony mogły ulec uszkodzeniu na brukowanej uliczce biegnącej do jego domu. Taki rower najlepiej nadaje się na gładki asfalt i tory kolarskie. A najbardziej – do wygrywania wyścigów! Tak jak dzisiaj.

Co roku, 6 kwietnia, w Międzynarodowym Dniu Sportu dla Rozwoju i Pokoju, jego dzielnica organizowała wyścig rowerowy ulicami miasta. Nikodem przygotowywał się do tego wyścigu przez cały rok. Trenował naprawdę ciężko. Mama śmiała się, że gdyby tyle samo wysiłku wkładał w naukę, co w kolarstwo, to byłby już profesorem. Problem w tym, że Nikodem nie chciał być żadnym profesorem. Chciał być słynnym kolarzem. A teraz – po zwycięstwie – czuł, że jego marzenie jest odrobinę bliżej.

Wszedł na swoje podwórko, oparł rower o schody na ganek i wparował do kuchni. Mama i siostra już na niego czekały. Obiecały, że przez cały wyścig nie będą robić nic innego, tylko trzymać kciuki za Nikodema. Na jego widok zerwały się z krzesel.

– No i jak? – zapytała siostra. – Które miejsce?

Nikodem nic nie powiedział, tylko wskazał palcem złoty medal na swojej szyi.

– Wygrałeś? Naprawdę? To wspaniale! – Mama aż klasnęła w dłonie, a siostra podskoczyła.

Obydwie chciały go natychmiast wyściskać, ale szybko zorientowały się, że chłopiec jest niemiłosiernie spocony i zgrzany.

– Wiesz co? Może wyściskamy cię, jak weźmiesz prysznic – zaproponowała ze śmiechem mama.

– Dobry pomysł – zgodził się Nikodem i ruszył do łazienki.

Pół godziny później – wymyty, wypchniony i świeżo wyściskany – usiadł na krześle w swoim pokoju. Złoty medal na czerwonej wstędze zawiesił na gwoźdźniku nad monitorem komputera. „Chcę go zawsze widzieć” – pomyślał. – „Żeby nigdy nie zapomnieć o marzeniach!”

Medal lśnił w promieniach słońca, wpadających przez odsłonięte okno. Wyglądał, jakby był z najszlachetniejszego złota, a może nawet z jeszcze cenniejszego kruszcu. Na środku krążka wytłoczony był rower, a wzdłuż krawędzi biegł napis „Dopóki walczysz, jesteś zwycięzcą”. Nikodem wpatrywał się w ten medal tak, jakby wciąż nie mógł uwierzyć, że należy do niego. Z zamyślenia wyrwał go dzwonek komórki. To był Maks, jego kumpel z podwórka.

– Nie uwierzysz! – Nikodem po raz kolejny mógł przeżyć swoje szczęście. – Wygrałem!

– Wiem – odparł Maks. – Przed chwilą mówili o tym wyścigu w lokalnych wiadomościach! Trudno było?

– No. – Nikodem aż westchnął, gdy przypominał sobie przebieg zawodów. – Powiem ci szczerze, że już myślałem, że nie dam rady. Strasznie długa trasa, dużo dobrych zawodników. Szczególnie taki jeden Mikołaj. Z klubu kolarskiego przy ulicy Białowieskiej, wiesz którego? To nasza najgroźniejsza konkurencja! No więc ten Mikołaj przez cały wyścig prowadził, a ja siedziałem mu na ogonie. Ale co próbowałem go wyprzedzić, to mi uciekał o metr albo dwa. Reszta pelotonu praktycznie się nie liczyła.

– No i co zrobiłeś? Jak go wyprzedziłeś? – gorączkował się Maks.

– W kolarstwie trzeba myśleć, a nie tylko pedałować. Kiedy wchodziliśmy w ostatni zakręt, zauważyłem, że na zewnętrznej krawędzi jezdni jest trochę drobnego piasku. Mikołaj tego nie zauważył. Ja ściąłem zakręt po wewnętrznej, a on nie. No i wleciał w ten piasek jak łoś w pokrzywy! Przy takiej prędkości nie było siły, żeby nie zaliczył poślizgu.

– Wywalił się? – dopytywał Maks z wypiekami na twarzy.

– No jasne. Poleciał na pobocze, aż iskry szły!

– A ty?

– Ja pojechałem dalej. Minutę później minąłem linię mety... i po zawodach! – roześmiał się zadowolony z siebie Nikodem.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale nagle z kufra ze starymi zabawkami w rogu pokoju dobiegło potężne stuknięcie. Zupełnie jakby ktoś od wewnątrz uderzył młotem o wieko. A nie było to byle jakie wieko, tylko porządne, drewniane, podobnie jak cały kufer.

Zawodnicy w wieku 14-18 lat stawiają pierwsze kroki na swojej olimpijskiej drodze na Młodzieżowych Igrzyskach Olimpijskich oraz Olimpijskich Festiwalach Młodzieży Europy. Obydwa wydarzenia mają swoją letnią i zimową edycję.







Zaskoczony Nikodem pospieszenie pożegnał się z Maksem i podszedł do kufra. Kucnął przy nim. Przyłożył ucho do ścianki. W środku coś się ruszało! A nawet chyba wierzgało, sądząc po kolejnych stuknięciach, walnięciach i uderzeniach, od których biedny, stary kufer aż się trząsł.

Nikodemowi zrobiło się nieswojo. „Co to może być?” – myślał gorączkowo.

Może w kufrze schował się jakiś złoczyńca? Albo wlaźło tam dzikie zwierzę? Nie, to niemożliwe! Jak zwierzę lub złoczyńca mieliby się tam dostać? W domu przez cały czas były przecież mama i siostra, a rano jeszcze tata.

„Wiem! – pomyślał. – To pewnie mój stary samochód na baterie uruchomił się i tak stuka. To mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe. Elektryczne zabawki potrafią płać takie psikusy”.

Stukanie powtarzało się raz za razem, i to coraz bardziej natrączywie. Nie było na co czekać. Nikodem odsunął rygiel, na który zamknięta była skrzynia, i zdecydowanym

ruchem otworzył wieko. Wtedy nastąpiło wielkie ŁUP. I oto leżał na plecach na dywanie z obolałym tyłkiem, a nad nim stało i dyszało COŚ WIELKIEGO.

Nikodem był tak zaskoczony, wystraszony i zmieszany, że nie mógł wydobyć z siebie słowa. Leżał zatem w ciszy i gapił się prosto w rozdęte nozdrza TEGO CZEGOŚ.

„To chyba zwierzę” – przemknęło mu przez myśl.

Za tym, że ma do czynienia ze zwierzęciem, przemawiało kilka faktów: TO miało wspomniane już nozdrza, a także wielkie oczy, jeszcze większe rogi zakrzywione na końcówkach oraz kopyta.

Z kolei za tym, że to nie zwierzę, przemawiał fakt, że TO miało na sobie kostium! Coś w rodzaju kolorowych spodni ogrodniczek i barwny szalik na długasnej szyi.

„Zaraz, zaraz... – W skołatanej głowie Nikodema te wszystkie fakty próbowały połączyć się w sensowną całość. – Ja go już gdzieś widziałem...”

– Cześć! – powiedział przybysz, przerywając ciąg Nikodemowych myśli.



*Fair play to zaproszenie do
świata radości.*

prof. Józef Lipiec

cą północną. Nazywam się Yoggl.

– No tak – roześmiał się Nikodem. – Kiedy byłem mały, nie umiałem tego wymówić i nazywałem cię Jogi!

– Pamiętam. Strasznie mnie to denerwowało – przyznał Yoggl. – Ale teraz jestem zdenerwowany jeszcze bardziej!

Powiedziawszy to, Yoggl pochylił łeb i ubódł rogami powietrze.

– Dlaczego jesteś zdenerwowany? – spytał Nikodem, odsuwając się odrobinę od zwierzęcia.

– Bo słyszałem twoją rozmowę telefoniczną. Tę przed chwilą. Jak mogłeś się tak okropnie zachować?

Nikodem zrobił bezradną minę. Kompletnie nie wiedział, o co Yogglowi chodzi. Tak samo jak nie wiedział, jakim cudem zwykły pluszak zamienił się w wielkie, żywe zwierzę. Cała ta sytuacja coraz bardziej go niepokoiła.

– Masz na myśli... moją rozmowę z Maksem? – zapytał. – Przecież nie zrobiłem mu żadnej przykrości. A rozłączyłem się... przez ciebie i to twoje stukanie.

– Nie udawaj świstaka! – prychnął Yoggl. – Chodzi mi o przebieg wyścigu. Jak mogłeś zostawić twojego rywala bez pomocy? Ten złoty medal wcale ci się nie należy!

– Dzień dobry – odpowiedział grzecznie Nikodem, wychodząc z założenia, że jeśli się nie wie, z czym lub kim ma się do czynienia, to tym bardziej dobrze być uprzejmym.

– Poznajesz mnie?

– No właśnie... ja... chyba... – dukał Nikodem i wtedy nagle go olśniło. – Tak! Ty jesteś tą maskotką, którą tata przywiózł kiedyś z igrzysk olimpijskich.

– Młodzieżowe Igrzyska Olimpijskie, Innsbruck, rok dwa tysiące dwunasty – wyrecytował gość. – Byłem ich symbolem. Jestem kozi-

No, tego było już za wiele! Nie dość, że ta dzika, wierzgająca kozica wdarła się do pokoju Nikodema, to jeszcze chciała mu odebrać jego złoty medal!

– A właśnie że mi się należy! – wybuchnął chłopiec. – Ciężko trenowałem przez cały rok! Byłem najlepszy! I udowodniłem to w wyścigu!

– Zachowałeś się nie fair – stanowczym tonem stwierdziła kozica. – Twój rywal się wywalił, a ty mu nie pomogłeś. W dodatku wykorzystałeś jego pecha, żeby wyjść na prowadzenie. Tak nie robią mistrzowie!

– A jak robią? To były zawody, a nie klub przedszkolaka! Nie miałem czasu nikogo niańczyć! – odciął się Nikodem.

– Opowiem ci, co robią mistrzowie. – Yoggl usiadł na zadzie i poczęstował się kwiatkiem z doniczki. – Tylko mi nie przerywaj, bo wtedy... – Zwierzę urwało i groźnie nastawiło rogi.

– No dobra, mów. – Nikodem zrozumiał, że opór na nic się nie zda.

– Znasz Ryszarda Szurkowskiego? – zagaił Yoggl.

– Kto by nie znał! – zapalił się Nikodem. – To kolarska legenda.

– No właśnie, legenda. – Yoggl z zadowoleniem kiwnął łbem i podrapał kopytem w parkiet. – A legendą nie zostaje się bez powodu... Opowiem ci taką historię. Był rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty, Mistrzostwa Polski w kolarstwie. Szurkowski jechał świetnie, ale miał groźnego rywala, Zygmunta Hanusika. Podczas jednego z etapów Hanusik zaliczył stłuczkę. Jego rower nie nadawał się do dalszej jazdy. Wiesz, co zrobił Szurkowski? Szybko dał Hanusikowi swój zapasowy rower, aby ten mógł kontynuować wyścig!

– I co? Kto wygrał? – Nikodem z wypiekami na policzkach słuchał opowieści Yoggl.

– Zwyciężył Hanusik! Szurkowski przyjechał piąty. Jednak nie żałował. Uważał, że nie mógł zachować się inaczej. Powiedział dziennikarzom, że gdyby wygrał ten wyścig dzięki kłopotom technicznym rywala, to wcale by go ta wygrana nie cieszyła. I to się nazywa fair play!

„Fair play, fair play, fair play...” – te angielskie słowa dudniły w głowie Nikodema jak spadające kamienie.

Tymczasem Yoggi gdzieś zniknął. Zamiast jego koziego pyska chłopiec zobaczył nad sobą rozmytą twarz mamy. Zamrugał. Twarz mamy nabrała wyrazistości.

– Hej, bohaterze! – Mama ze śmiechem potrząsała go za ramię. – Zasnąłeś na dywanie! Oj, chyba ten dzisiejszy wyścig dał ci w kość!

Nikodem zerwał się na równe nogi. Spojrzał na kufer z zabawkami. Wieko było zamknięte, rygiel zasunięty.

„A więc to był tylko sen! – pomyślał chłopiec z ulgą. – I cała ta rozmowa też... Ale zaraz! Zazwyczaj sny się zapominają, a ja pamiętam każde słowo...”

Odsunął krzesło przy biurku i dorwał się do komputera. Musiał jak najszybciej sprawdzić, czy historia opowiedziana przez Yoggla wydarzyła się naprawdę. I co to dokładnie znaczy „fair play”.

Po kilkunastu minutach szperania wszystko już wiedział. Sen czy nie sen, Yoggi mówił prawdę. Co więcej, okazało się, że takich sytuacji jak ta z Szurkowskim i Hanusikiem było więcej. Niektóre wydarzyły się całkiem niedawno. Na przykład w 2019 roku Eugenio Dondi zatrzymał się, aby poczekać na swojego rywala Kevina Dal Passo,

który zaliczył poślizg i wywrotkę. W 2020 roku w podobnej sytuacji David Livramento pomógł rywalowi z przeciwnej drużyny naprawić rower i kontynuować wyścig...

Nikodem podniósł wzrok i spojrzał na swój złoty medal wiszący na ścianie. Nie błyszczał już tak jak wcześniej. Wydawał się jakiś... mniej złoty. A w zasadzie – całkiem niezłoty. Ot, zwykły kawałek metalu na czerwonej wstążce. Można takie kupić w każdym sklepie sportowym...

– Mamo, muszę coś załatwić! – zawołał Nikodem, zbiegając schodami do przedpokoju.

Szybko włożył buty, z szopy wziął swój „normalny” rower, czyli górala na grubych oponach, i pognął. Dokąd? Na Białowieską!

– O proszę, przybył mistrz! – Trener Mikołaja właśnie wychodził z klubu.

Na widok Nikodema zatrzymał się i przywitał. Gdy usłyszał, w jakiej sprawie Nikodem przyjechał, uśmiechnął się pod wąsem.

– Mikołaj pewnie siedzi w domu, trochę poturbowany po tej wywrotce. Tu masz jego adres. – Trener wręczył Nikodemowi karteczkę z nazwą ulicy i numerem domu. Chłopiec podziękował i ruszył dalej. Na szczęście do mieszkania Mikołaja nie było daleko. Dosłownie trzy przecznice i jeden skwerek. Gdy wpadł zdyszany na podwórkę kamienicy, od razu wypatrzył rower rywala przypięty do specjalnego stojaka. Wbiegł schodami na drugie piętro i zadzwonił do drzwi.

Otworzyła mu mała siostra Mikołaja. Sam Mikołaj siedział w swoim pokoju i coś czytał. Gdy zobaczył Nikodema, książka o mało nie wypadła mu z ręki.

Fair play
niezbędne dla
sportu jak sport
dla życia.

Ryszard Szurkowski -
polski kolarz, dwukrotny
wicemistrz olimpijski.



– Co tu robisz? – spytał zaskoczony.

Nikodem klapnął na tapczan obok niego. Z kieszeni wyjął swój medal. Położył go na kolanach Mikołaja.

– Wydaje mi się, że to należy do ciebie – powiedział cicho. – Przepraszam...

– No co ty! – Mikołaj wyraźnie był w szoku. – Za co przepraszasz? Przecież byłeś pierwszy. A ja wywaliłem się jak fajtłapa tuż przed metą. Mogłem uważać!

– A ja mogłem ci pomóc – powiedział Nikodem. – Tak zachowałby się prawdziwy mistrz.

Chłopiec streścił rywalowi historię o Szurkowskim i Hanusiku. Dodał też wszystko, czego dowiedział się z internetu o fair play: że w rywalizacji ważny jest szacunek dla przeciwnika, że nie można dążyć do wygranej za wszelką cenę, że wykorzystywanie wypadku rywala lub błędu sędziego w celu zwycięstwa nie jest w porządku...

– Bo wiesz – zakończył – zawodów i wyścigów będzie jeszcze mnóstwo, a honor ma się tylko jeden. Co nie?

W pokoju zapadła cisza. Mikołaj patrzył to na Nikodema, to na medal, to gdzieś daleko, w niebo za oknem...

– Mam pomysł! – powiedział w końcu. – Podzielimy się tym medalem! Jeden miesiąc niech wisi u ciebie, a drugi u mnie.

– Super! – Nikodem poczuł, jak ciężki kamień spada mu z serca. – A tak w ogóle to jechałeś naprawdę świetnie – dodał. – Gdybyś się nie wywalił, tobym cię nie przegonił.

– Skąd wiesz – roześmiał się Mikołaj. – Pedałowałem resztką sił. Robiłem, co mogłem, a ty wciąż byłeś tuż za mną... O mało co płuc nie wyplułem!

– Może powinniśmy trenować razem? – zaproponował Nikodem.

– Trenować razem i pomagać razem! – zapalił się Mikołaj. – No wiesz, moglibyśmy zostać takim jakby... rowerowym pogotowiem ratunkowym. Kiedy zobaczymy, że inny rowerzysta na mieście lub na zawodach potrzebuje pomocy, to mu jej udzielimy. Będziemy zawsze mieć przy sobie apteczkę i zestaw narzędzi. Co ty na to?

– Rowerowe pogotowie ratunkowe? – zamyślił się Nikodem. – Podoba mi się! Mam nawet hasło: „Nik i Mik – pomoc w mig”!

Chłopcy roześmiali się i przybili piątkę. Nie tylko ze sobą, ale też z siostrzyczką Mikołaja, która akurat weszła do pokoju, żeby przynieść im po kawałku ciasta. I to było chyba najpyszniejsze ciasto, jakie Nikodem jadł w całym swoim życiu!



Inne ważne daty to:

19 maja - Światowy Dzień Fair Play

3 czerwca - Światowy Dzień Roweru

** 23 czerwca - Dzień Olimpijski*





Hodori - tygrys obdarzony
poczuciem humoru, odwagą
i szlachetnością.



Moongcho
- pochodzi
z Korei
Południowej,
tak jak Hodori.
Powstał z kuli
śnieżnej, która
została użyta
w walce na
śnieżki.



Sam - orzeł jest jednym
z symboli narodu
amerykańskiego. Dlatego został
wybrany na maskotkę igrzysk
olimpijskich w Los Angeles (1984).

Barbara Kosmowska

Łąka tylko dla orłów

Mówię wam! Trzeba mieć pecha, żeby mieszkać pod jednym dachem ze starszym bratem, który jest gwiazdą futbolu, mistrzem młodzików, ma ksywkę Messi i poza bramkami zdobywa serca dziewczyn z mojej klasy! Obawiam się, że serce Lenki też, a tego bardzo bym nie chciał.

Pewnie myślicie, że zżera mnie zazdrość jak rdza podwozie naszego opla. Nic z tych rzeczy! Oczywiście nie miałbym pretensji, gdyby całe miasteczko kibicowało mi na każdym meczu, a dziewczyny wypisywały w swoich zeszytach moje imię. Albo te lajki na Insta... Nie rozumiem ludzi, którzy z powodu celnej bramki wrzucają tysiące serduszek pod fotką Pawła w przepoconej koszulce i piszą pełne zachwyty komentarze. No, proszę was!...

Jednak odpuszczam! Paweł to w końcu mój brat. Wiem, że wskoczyłby za mną w ogień i ogólnie jest spoko. Co innego rodzice.

Trochę się zżymam, kiedy jeździmy tym zardzewiałym oplem na wszystkie mecze Pawła. Zdzieramy do bólu gardła na obcych stadionach, świętujemy w domu każdy gol Messiego, jakby co tydzień były jego urodziny. Nie ma zmiłuj. Wspieranie naszej gwiazdy tata traktuje jak obowiązek. Mama też! Gdyby mogła,





wiwatowałyby nawet na jego treningach. A przecież są w tym domu jeszcze inne dzieci! Na przykład ja albo nasza siostra, Elizka...

Ona ma łatwiej, bo w ogóle nie zawraca sobie głowy sławą Pawła. Wiecznie coś organizuje i wszystkim pomaga. Począwszy od tępaków z matmy, a skończywszy na bezdomnych zwierzętach. Jest także, jak całe miasto, wielką fanką naszych piłkarzy i nawet założyła Szkolny Klub Radosnego Kibica. Włóczy się z nim po Pawłowych rozgrywkach jak jakaś grupi. Jestem jedyną osobą w naszej rodzinie, która nie czuje wielkiej potrzeby wspierania brata. Po co wspierać kogoś, kto nawet gdy się pomyli, trafia w bramkę przeciwnika?

Co innego ja...

Uważam, że idealnie nadaję się do tego, by mnie wspierać.

W sporcie kariery nie zrobię, bo trudno znaleźć taką dyscyplinę, w której mógłbym być dobry.

Próbowałem! Jednak zawsze okazywało się, że aby trenować, byłem za niski lub za wysoki. Za młody albo za stary! Choć mam dopiero dziewięć lat! Zbyt wolny lub za bardzo wyrwiny. Za ciężki, za lekki... I tak w kółko... Sami widzicie! Nie ma dla mnie miejsca na boisku czy hali. Jeśli jednak sądzicie, że sobie całkiem odpuściłem, to pudło! Strzelone, nie-trafione!



Na początku, kiedy żaden trener ze szkolnego klubu sportowego nie był zainteresowany moją karierą, zaliczyłem totalną załamkę. I właśnie wtedy Paweł wyciągnął mnie nad jezioro, żeby pogadać.

– Mam dla ciebie mały prezent – powiedział, gdy już wylałem wszystkie łzy i jezioro na pewno zrobiło się większe.

– Co to? – spytałem, wyjmując z paczuszki śmiesznego pluszaka.

– Hodori, twój nowy przyjaciel – uśmiechnął się.

– Że niby mam się teraz bawić maskotkami? – Znowu zebrało mi się na łzy.

– Wręcz przeciwnie. – Paweł był tajemniczy. – To magiczny olimpijski tygrys. Znany na całym świecie. – Pogłaskał zwierzątko po łebku. – Dostałem go pięć lat temu. Na szczęście.

– I przyniósł ci szczęście?

– A nie? – uśmiechnął się pod nosem. – Dzięki temu rudzielcowi zrozumiałem, czym tak naprawdę jest sport...

– Niby czym? – W przeciwieństwie do Pawła rozumiałem coraz mniej.

– Zabawą. Radością. – Zamyślił się mój brat. – Jeśli zaczniesz go uprawiać dla siebie, a nie dla innych, zawsze będziesz wygrany...

Po powrocie do domu czułem, że już się coś we mnie zmieniło. Dziwne... Masz od pięciu minut magiczną maskotkę i zaczynasz wierzyć, że jeszcze nie wszystko stracone! A kiedy wygooglowałem tego całego Hodoriego, odjęło mi mowę! Bo zrozumiałem, że leży przede mną najbardziej znany tygrys świata, w dodatku przyjaciel ludzi. No i talizman z potężną siłą rażenia, bo przecież z Pawła to prawdziwy farciarz...

* * *

Czar chyba działał. Po kilku tygodniach wszystko się zmieniło. Zamiast rozpaczać, że nie należę do żadnej sekcji sportowej, sam założyłem drużynę!

Nie śmiecie się! Jej skład to same ofiermy i pataluchy z naszego osiedla. Takie jak ja! Fajne chłopaki, ale też za niskie lub za wysokie, za chude albo za grube... Spotykamy się na uklepanej łące za naszym domem i gramy w szczypiorniaka. No, bo w co można

grać na takiej łące? Zrobiliśmy dwie bramki ze starych desek i żegnaj, domowa nudo! A mamy tyle frajdy z tego latania po klepisku, że nie zamieniłbym drużyny na żadną inną. Tolek, mój przyjaciel, uważa, że jesteśmy najlepsi. I dopóki nikt z nami nie zagra, mamy prawo tak myśleć.

Pewnie, że chciałbym, aby o nas pisano i lajkowano w internetach. I żeby dziewczyny piszczwały na nasz widok, a lokalny reporter, pan Kaziu, cykał nam zdjęcia, jak latamy po tej łące między kałużami. Ale i bez tego Horodi spisuje się na medal. Przynosi mi szczęście. Zaczynam wierzyć, że mnie obdarował świetnym bratem. Gdyby nie on, pewnie siedziałbym w domu obrażony na cały świat.

Paweł ma też inne zalety... Kto by się tam chwalił młodym szczawiem ganiającym po łące. A on po każdym swoim meczu umie wypatrzeć mnie w największym tłumie, żeby przybić piątkę.

- To Kuba, mój najważniejszy kibic – mówi kolegom i trenerom.
- Poproszony przez pana Kazia o zdjęcie, zgadza się.
- Pod warunkiem że będzie zespołowe. Z moim młodszym bratem.
- I jak tu takiego nie lubić?

Ostatnio częściej targają mną wątpliwości. Są jak złośliwy wiatr, który cię wbija w ziemię, kiedy biegniesz na czas.

Wszystko przez Lenkę.

– Wybierasz się z rodzicami na turniej młodzików? – zapytała ostatnio. – Chętnie dołączę.

Gdy tylko widzę uśmiech Lenki, jestem skłonny pojechać z nią na koniec świata. Szkoda, że nie o mnie jej chodzi. No, ale już przywykłem do tego, że najlepsze zawsze spotyka Pawła.

– Super! – mówię niby od niechcenia. – Mamy wolne miejsce w aucie. Ale wiesz – dodaję uczciwie – jedziemy sami... Paweł zawsze podróżuje z drużyną...

– Wiem – odpowiedziała krótko. I tyle ją widziałem.

Skoro nieśmiała Lenka odważyła się wprosić do rodzinnego fanklubu, musi jej bardzo zależeć na tym Messim z małego miasteczka...

Żegnajcie marzenia o idealnej blondynce, która, tak jak ja, kocha fantastykę, komiksy oraz filmy Disneya. Niestety, również piłkę nożną, a nie szczypiorniaka. I tutejszego Messiego, a nie mnie...

Hodori słucha tych moich narzekań jednym uchem, ale ma je w swoim tygrysim nosie. Wiadomo! Jeśli zawody, to olimpijskie, nie miłosne!

* * *

Mijały kolejne tygodnie i sezon meczowy szkolnej ligi powoli się kończył. Lenka na dobre dołączyła do naszej rodziny. Mama ją uwielbia, tata dba, aby była na każdym meczu, a Elizka mówi, że to dziewczyna z wielką przyszłością. Postanowiłem nie stawać na drodze do jej szczęścia, choć nie jestem pewien, czy Paweł w ogóle wie, że jest jej szczęściem.

Za to na uklepanym boisku dokonuję ostatnio cudów. Bramka za bramką! Wszyscy się zastanawiają, co we mnie wstąpiło. A ja was zapewniam: nic nie wstąpiło! Noszę w treningowym plecaku swojego tygrysa i naprawdę zacząłem wierzyć, że z Seulu maskotką wszystko jest możliwe.

Jedyne, czego mój tygrys nie może zmienić, to pogody za oknem. Nadeszły dni listopadowej chłapy i obawiamy się z chłopakami, że niedługo będziemy pływać w błocie. Nasze spotkania są coraz krótsze, bo na tym niby-boisku szybciej zapada zmierzch, niżbyśmy chcieli.

– To się nie uda – zwątpił w nas ostatnio Gutek. – Gramy w ciemnościach. Zimno jak na Alasce. Warunki są estermiczne, eskterialne...



*Reprezentacja Polski w piłce nożnej,
Igrzyska VIII Olimpiady Paryż 1924.*



- Ekstremalne – poprawił go Julek.
- I nawet nie mamy nazwy drużyny – poskarżył się Misiek obrażonym tonem i popatrzył tak, jakby to była moja wina.
- Zajmijmy się tym – odparłem z uśmiechem. – W sobotę zbiórka u mnie. Będzie ciasto – obiecałem.

Tego dnia stawiała się cała siódemka. Nawet Mazgaj, nasz rezerwowy. Mama wniosła ogromny tort i wszyscy byli zdumieni, że ich kapitan jest o rok starszy. A kiedy już nas mdliło od kanapek i ciast, rozsiedliśmy się w moim pokoju, by omówić sprawy drużyny.

- Zanim wymyślimy nazwę, chcę wam zdradzić pewną tajemnicę – zacząłem, sięgając po Hodoriego. – Poznajcie naszego przyjaciela...

Opowiedziałem chłopakom, w jaki sposób Hodori znalazł się w moim sercu. I o tym, jak sprawił, że uwierzyłem w siebie. W nas.

- Ale numer! – zachwycali się moi goście. – Mamy cichego pomocnika!
- Megahistoria!
- Wspaniała ósemka i tygrys! – wykrzykiwali, szukając w telefonach informacji o rudzielcu.

Byliśmy dumni, że ten znany i lubiany Hodori jest teraz trochę nasz.

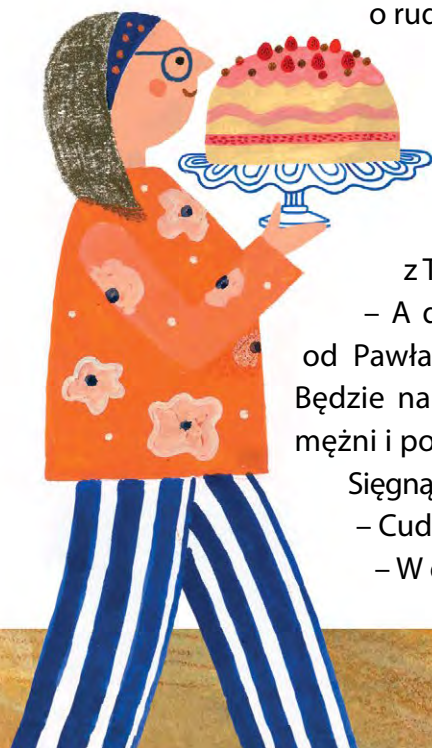
- Mamy drużynę, boisko i tygrysa – rozmarzył się Tolek. – To całkiem dobry start – pokiwał głową.

Pozostała siódemka też pokiwała głową, bo trudno było się z Tolkiem nie zgodzić.

- A dzisiaj, z okazji urodzin – ciągnąłem swą opowieść – dostałem od Pawła kolejny prezent. To także olimpijska maskotka na szczęście. Będzie nam zawsze przypominała, że jesteśmy jak osiedlowe orły: silni, mężni i potrafiący się bawić, a nie tylko bić rekordy...

Sięgnąłem po pudełko, w którym spokojnie czekał na swoją kolej orzeł Sam.

- Cudowny! – zachwycili się wszyscy.
- W dodatku taki jak z Disneya!



- Zobaczcie! Uśmiecha się całym dziobem!
 - Chwilunia, chwilunia... On ma ręce zamiast skrzydeł! – Leon zaniemówił z wrażenia.
 - Widzicie to? – podchwyciłem. – Ma ręce! A my gramy w piłkę...
 - Ręczną! – odpowiedzieli chórem.
 - Pojęcia nie mam, skąd Paweł mógł wiedzieć, że ja... że my... – zacząłem się zastanawiać, ale nie było czasu na domysły, gdyż posypały się propozycje nazwy dla naszego zespołu.
 - Może „Orły Łąkowe”?
 - Albo „Osiedlowe Orły”!
 - Lepiej „Nieustraszone”!
- Każdy chciał, abyśmy byli orłami. Tylko jakimi?
- Zapadła cisza. I wtedy odezwał się Krzyś, który najmniej mówił, ale najwięcej czytał.
- A może „Orły Samosie”? Na cześć Sama. No i dlatego, że my to wszystko... wiecie... boisko, treningi... że my to wszystko sami...
- Przerwały mu głośnie brawa. Aż mama zajrzała do pokoju, myśląc, że wybraliśmy co najmniej nowego burmistrza. I wcale się tak bardzo nie pomyliła.



* * *

Mijały kolejne tygodnie, a Orły Samosie wciąż lądowały na zaśnieżonej łące, żeby poćwiczyć. Na mój gust graliśmy już całkiem przyzwoicie, ale wiedzieli o tym tylko Hodori i Orzeł Sam. Nikt inny nie miał pojęcia o istnieniu naszej podwórkowej drużyny.

Dlatego wbiło mnie w parkiet sali gimnastycznej, gdy na wuefie nasz nauczyciel, Biceps, zapytał, czy to prawda, że grywamy w ręczną...

– Prawda – wyjąkałem cały czerwony.

On na to, że dobrze się składa, bo szkolnym szczypiornistom przydałby się jakiś baraż. I że muszą poćwiczyć w terenie, a my ponoć właśnie tak trenujemy... Jeśli więc chcemy...

Czy chcemy???

Biceps wciąż mówił, a ja czułem, że to najpiękniejsza chwila w moim życiu.

– Ale my tylko tak... amatorsko... – szepnąłem, przerażony, że dostaniemy prawdziwy łomot.

– Sport to sport – uśmiechnął się Biceps. – Sobota. Godzina jedenasta, na tej waszej łące – dodał z uśmiechem.

„Skąd wiedział o łące?” – zachodziłem w głowę, zwołując natychmiast zebranie Orłów Samosiów.

Spotkaliśmy się w szatni, wstrząśnięci do głębi.

– To niemożliwe!

– Co teraz?

– Przecież gramy w kaloszach! Będzie obciach!

Dzielił się tysiącem wątpliwości.

– Słuchajcie – przerwałem te narzekania – to prawda. Nie mamy trenera i porządných dresów. Nawet boiska z prawdziwego zdarzenia. Ale posiadamy czarodziejskie moce. Jeśli odpuścimy, kto z was to wytłumaczy Hodoriemu i Samowi?

– Stajemy do walki! – odpowiedziało mi siedem zdecydowanych zawodników.

– I nie chodzi nam o to, żeby za wszelką cenę wygrać. Chodzi o to, żeby zagrać – podsumował celnie Krzyś, zanim ponownie zanurzył nos w komiksie o detektywie Wróblu i złamanym piórze.

* * *

To, co się wydarzyło w zwyczajną sobotę – no, może nie tak całkiem zwyczajną, bo tego dnia spadło więcej śniegu niż w poprzednie zimy – było niesamowite. A ja nigdy nie zapisałbym tylu życzeń na liście marzeń. I może właśnie dlatego marzenia są takie piękne, że czasami spełniają się nawet nieproszone?

Kiedy nasza siódemka w pożyczonych strojach stanęła na łące, nic nie wskazywało na to, że ktokolwiek poza nami tam dotrze.

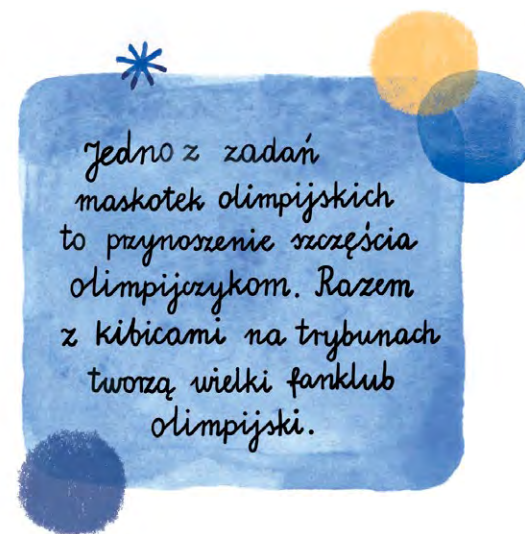
– To jakaś ściema. – Julek ze smutkiem rozejrzał się po zaśnieżonym klepisku. – Zakpili z nas i tyle...

– Niekoniecznie. – Krzyś spojrzał na swój zegarek. – Przyszliśmy o godzinę wcześniej – zamrugnął nerwowo.

Zarządziłem rozgrzewkę, przerażony, że może rzeczywiście Biceps z nas zażartował, a ja potraktowałem z całą powagą jego propozycję. Ale gdy tylko skończyliśmy pierwszą część ćwiczeń, zauważyliśmy nadciągającą drużynę przeciwników. I dopiero wtedy dopadło nas przerażenie! Siódemce szczypiornistów towarzyszył całkiem spory tłum kibiców.

– O rany! – westchnął Remek. – Zmiażdżą nas. Jeśli nie klubowe szczypiory, to ich fanklub!

– My też mamy fanklub – przypomniałem, wskazując oczami ukrytych w zaroślach Hodoriego i Sama.





ORLY DO
BOJU!

Dzielne
Orleto -
kazdy kibic
zapamieta...

Natychmiast poczuliśmy ulgę i wiedzieliśmy, że ten miły spokój będzie nam towarzyszył do ostatniego gwizdka.

Jednak zanim rozległ się pierwszy, z przeciwnej strony zmierzała w naszym kierunku kolejna grupa gapiów. Z wielkimi transparentami, bębenkami i okrzykami. Głośniejsza niż orkiestra wojskowa...

Oniemiałem. Bo najgłośniej krzyczał Paweł. I Elizka, ona też się wydzieriała. „Skąd tu się wzięli?” – myślałem gorączkowo. Potem dojrzałem Lenkę z koleżankami, a właściwie całą moją klasę! Stawili się wszyscy. O! I rodzice pozostałych zawodników! Tata Krzysia z wielkim napisem „Orły do boju”, mama Julka w szaliku polskiej reprezentacji, cała rodzina Gutka... Mój tata ponad głowami innych machał transparentem „Dzielne Orłęta – każdy kibic zapamięta”.

Ach! Nie miałem czasu przyglądać się wszystkim, bo sędzia Biceps dmuchnął w gwizdek i rozbiegliśmy się jak orły, choć raczej może wróble po śnieżnym parkiecie. Wprawdzie przeciwnicy już na początku zyskali nad nami przewagę, to jednak tak niewielką, że nawet trener był zaskoczony. A kiedy wyrównaliśmy wynik i przez chwilę cieszyliśmy się przewagą punktów, nasz fanklub całkiem oszalał. I to było tak bardzo mega, że właściwie świat mógłby w tym momencie przestać istnieć.

Ostatni gwizdek dał początek wielkiej radości. Przegraliśmy minimalnie, ale z honorem i w pięknym stylu. Tak powiedział Paweł, gratulując każdemu z nas. Pan Kaziu wprawdzie nie przyszedł, ale Lenka zrobiła tyle zdjęć, że chyba żadna drużyna nie miała lepszego fotoreportera. No i dostaliśmy wszyscy od Elizki pamiątkowe koszulki z napisem „Orły Samosie”. Na każdej był uśmiechnięty Sam i radosny tygrys.

– Dzięki! Ale, niestety, przegraliśmy... – lekko protestowałem, gdy tłum naszych kibiców nie ustawał w gratulacjach.

– Dla nas jesteście mistrzami – z powagą oświadczył tata, zanim zagłuszyły go brawa.

– Mam coś dla ciebie. – Lenka delikatnie odciągnęła mnie na bok. – Do twojej kolekcji – powiedziała, wręczając mi małego pluszaka.

– Moongcho? – zdumiałem się. Trzymałem w ręce śnieżną kulkę. – To przecież maskotka, która dopiero za rok zawładnie sercami sportowców!

– A tobie już od teraz będzie sprzyjała – uśmiechnęła się. – Ja zresztą też – dodała cicho. – Nareszcie nie muszę jeździć na Pawła mecze, aby ci kibicować – spuściła oczy.

Z tego wszystkiego całkiem postradałem zmysły i z wrażenia pięć razy pocałowałem Moongcho w białą, miękką buźkę. „To jednak prawda, że olimpijskie maskotki dodają odwagi” – pomyślałem, cmokając również Lenkę w jej zaróżowiony od zimna policzek.

* * *

Wiele się zmieniło po naszym meczu. Ale jeśli sądzicie, że Orły Samosie poszybowały do wielkich klubów sportowych, to nic z tych rzeczy! Dalej biegamy po naszej łące. Dzięki rodzicom mamy teraz porządne bramki z prawdziwego zdarzenia. No i drużynowe koszulki od Elizki.

Okazało się, że to Paweł odkrył nasze osiedlowe treningi. Od dawna przygotowywał ten sportowy prezent dla nas, zwyczajnych chłopaków z osiedla. I to on namówił Bicepsa na mecz. Kochanego mam brata.

Dostaliśmy nawet imienne zaproszenia na regularne treningi. Ale uznaliśmy, że nie są nam potrzebne. Mamy przecież swoje boisko, talizmany na szczęście, własny fanklub oraz rosnącą liczbę lajków na Insta. I najważniejsze! Mamy również Lenkę – najładniejszą pannę fotograf pod słońcem...





Ale bigos!

Bandabi wsunął czarną włochatą łapę do skrzynki na listy. Łapa ledwo zmieściła się w wąskim otworze, przez który listonosz – nazywany w okolicy listonoszem (staruszek zatrudniony w leśnym oddziale południowo-koreańskiej poczty był bowiem lisem) – dostarczał korespondencję.

– Ja mu dam! – mamrotał Bandabi, wygrzebując ze skrzynki stertę niechcianych ulotek.

Zaproszenie na wyprzedaż w dziupli wiewiórek. Kupon rabatowy do spa u starego psa („Nieźle masuję plecy” – zachwalał właściciel). I jadłospis jadłodajni U Niejadka (chudego jak patyk bociana, wciskającego wszystkim klientom żabie udka w pięciu smakach).

Już miał wyrzucić stertę papierów, kiedy dostrzegł bładoniebieską kopertę, która ukryła się między kartkami jadłospisu.

– List?! – mruknął zaskoczony.

Nie spodziewał się żadnego listu o tej porze roku. Tylko urząd podatkowy słał niestrudzenie listy przez cały rok. Inni czekali do wiosny, sądząc, że wszystkie niedźwiedzie





*Mamucia skocznia narciarska.
Jej rozmiar wynosi co najmniej 200 m.*



*Slalom gigant – olimpijska konkurencja
narciarska pośrednia w swoim charakterze
między supergigantem a slalomem.*

zapadają w zimowy sen. Tylko najbliżsi wiedzieli, że Bandabi tak kochał śnieg i sporty zimowe, że postanowił zimowy sen zastąpić letnią drzemką.

Niedźwiedź przejechał pazurem po nierównej powierzchni koperty. Wytłoczone na niej wzory przypominały wielkie płatki śniegu. Od razu domyślił się, kto był nadawcą listu.

– Bing Dwen Dwen – wrzasnął radośnie i podskoczył na tylnych łapach. – Drogi przyjacielu! Pandziu, pandzioszku!

Wielki czarny niedźwiedź z białą plamą w kształcie półksiężyca na piersi, w czapce z trzema kolorowymi pasami i białym pomponem na czubku skakał radośnie po ganku, aż deski pod nim skrzypiały. Tak ucieszył się z listu od dawno niewidzianego przyjaciela.

Kim był ów Bing Dwen Dwen?! Pandą. Bardzo wesołą pandą – trzeba dodać.

Bing Dwen Dwen mieszkał w Chinach. I podobnie jak Bandabi uwielbiał sporty zimowe. W ogóle uwielbiał wszystko, co kojarzyło się z zimą. W końcu jego imię w języku mandaryńskim, którym posługiwało się wielu mieszkańców Chin, oznaczało właśnie „lód”.

Bing Dwen Dwen i Bandabi spotkali się przed laty na zawodach dla maskotek olimpijskich. Rywalizowali zażarcie, ale uczciwie. Niedźwiedź był bezkonkurencyjny w skokach. Na mamuciej skoczni przeskoczył punkt konstrukcyjny i wylądował tuż przed stolikiem

sędziów. Jeszcze metr i padłby w objęciach jurorki, pani jeżozwierz. Przerazona i zła sędzia nastroszyła kolce, ale i tak musiała przyznać, że niedźwiedź wylądował w doskonałym stylu.

Za to Bing Dwen Dwen triumfował w slalomie gigancie. No i w saneczkarstwie. Zawsze pełen życia, krzepki i zwinny. Na lewej czarnej łapce nosił czerwone serduszko. Dosłownie witał innych z sercem na dłoni. I nie rozstawał się z białym kombinezonem. Niektórym ten ubiór pandy kojarzył się ze strojem nurka. Innym z kostką lodu. Byli tacy, którzy uważali, że biedaczysko utknął w wirówce. Jednak większość uparcie twierdziła, że to musi być strój astronauty. Niektórzy żartowali, że niedoścignionego konkurenta najchętniej wystaliby w kosmos.

Po ceremonii zamknięcia zawodów Bing Dwen Dwen i Bandabi przybili łapkę. A potem spędzili razem cały wieczór, opowiadając sobie różne historie. O tym, że w pierwszych nowożytnych igrzyskach olimpijskich w 1896 roku zwycięzcy dostawali nie złote, a srebrne medale oraz gałązkę oliwną. I o tym, że na igrzyskach od wyników zawsze ważniejsza była przyjaźń, która łączyła zawodników bez względu na to, skąd pochodzili albo jaki mieli kolor skóry...

– Lub futra – zażartował Bandabi.

Wspólnych tematów mieli tak wiele, że jeden wieczór nie mógł wystarczyć, by je wyczerpać. Tak zaczęła się ich przyjaźń, trwająca do dzisiaj.

Spotykali się od czasu do czasu, a kiedy nie mogli się spotkać, pisali do siebie... Prawdę mówiąc, to Bing Dwen Dwen pisał listy. A niedźwiedź dyktował je lisonoszowi (stary lis za dodatkową opłatą pomagał zwierzętom, których łapy były zbyt duże, by poradzić sobie z piórem lub długopisem).

Kolejny list od przyjaciela z Chin bardzo ucieszył niedźwiedzia. Nic więc dziwnego, że Bandabi podskakiwał radośnie.

– Przestań już, przestań. Dzieci spać nie mogą – piszczały myszy, mieszkające pod gankiem.

To skłoniło Bandabiego do opanowania emocji.

Wszedł do domu. Wielkim pazurem rozerwał kopertę. Ze środka wyjął kartkę (równie bładoniebieską jak koperta) i zaczął czytać.

„Drogi Bandabi!” – list zaczynał się wielkimi literami. Jednak tylko one były wielkie. Cała reszta zapisana była maczkiem.

Bandabi sięgnął po okrągłe oprawki okularów. Obwódka każdego szkła była w innym kolorze. Jedna żółta, druga czerwona. Okulary wyglądały jak koła olimpijskie, tyle że kół olimpijskich jest pięć. Gdyby jednak ktoś dokładnie przyjrzał się łącznikowi okularów, odnalazłby jeszcze trzy kółeczka – czarne, niebieskie i zielone. Tworzyły pomost pomiędzy szklami, utrzymując fikuśną konstrukcję na niedźwiedzim nosie.

Przeczytawszy list, niedźwiedź aż przysiadł z wrażenia.

Bing Dwen Dwen pisał o kimś, kogo obaj dobrze znali, choć dawno nie widzieli. Rozłąka i dzielące ich tysiące kilometrów nie rozluźniły jednak więzi przyjaźni, która niegdyś połączyła ich z Migą...

Miga była bardzo miłą dziewczyną. Zawsze uśmiechnięta, uroczo marszczyła różowy nosek, gdy ktoś czymś ją rozbawił. A zakłopotana – poprawiała „to coś” na głowie. „Coś”, co dla jednych było lokiem, a dla innych... płetwą. Toczyły się o to spory i nie jeden naukowiec mógłby na ten temat napisać rozprawę doktorską.

Miga mieszkała na kanadyjskiej wyspie na Oceanie Spokojnym. Latem surfowała po niespokojnych falach tylko z nazwy spokojnego oceanu. Świetnie dogadywała się z surferami, choć ci przyznawali, że na zawodach nie mieliby z nią szans. Miga bowiem była w połowie orką...

Zimą Miga zapuszczała się w głąb lądu. I tam też surfowała. Ale nie po falach, tylko śmigła po zaśnieżonych zboczach kanadyjskich Gór Skalistych. Na brzuchu?! Nie! Na desce snowboardowej. Wystarczyło, by raz spróbowała tego sportu, i od razu się w nim zakochała, odkrywając przy tym swoją drugą naturę. Choć w połowie była orką, w drugiej połowie była... białym niedźwiedziem Kermode z kanadyjskich gór.



Pięć splecionych ze sobą kół jednakowej średnicy symbolizuje unię pięciu kontynentów oraz spotkanie sportowców z całego świata na igrzyskach olimpijskich, a ponadto: pokój, braterstwo i uniwersalizm olimpijski.





Niektórzy śmiali się, że Miga to „niedźwiedzica morska” – ni to orka, ni to miś. Tylko potomkowie pierwszych mieszkańców Kanady słyszeli od swoich dziadów i pradziadów o „niedźwiedziach morskich”. A ci od swoich dziadów i pradziadów poznali legendy o mitycznych stworzeniach, które mieszkaly na terenach dzisiejszej Kanady długo przed ludźmi. I wyglądały zupełnie jak Miga.

Żarty z „niedźwiedzica morskiego” nie przebijały się przez fale oklasków. Rechot zagłuszały bowiem brawa, jakimi obdarowywano utalentowaną Migę po każdym jej snowboardowym triumfie.

Taką Migę zapamiętał Bandabi. Minęły jednak lata. Futerko Migi tu i ówdzie pożółkło, gdzieś tam pojawiły się zmarszczki. Nie wydawała się już tak zwinna jak przed laty – donosił o dawno niewidzianej przyjaciółce Bing Dwen Dwen w swoim liście. Nie było w tym nic zaskakującego. I nie to zwała niedźwiedzica z nóg.

„Niedźwiedzica morska oszustką!” – głośiły nagłówki popularnych czasopism. Wo- kół dawnej gwiazdy snowboardu rozpętała się prawdziwa burza. Złe wieści dotarły na- wet do chińskich gazet, które regularnie kupował Bing Dwen Dwen. Także w internecie huczało od dyskusji i spekulacji o tym, jak to Miga, nie mogąc nawiązać równej rywali- zacji z młodszymi rywalami, pozbywa się ich podstępem.

– Biedna Miga – wzdychał Bandabi.

Dobrze znał przyjaciółkę. Nieraz spotykali się na zimowych zawodach. Nieraz tre- nowali na tym samym stoku, a po treningach spotykali się przy kropelce ożywczej mięty i naparu z nagietka. Był świadkiem, jak kiedyś Miga zrezygnowała z zawodów tylko dlatego, że swoją deskę pożyczyła kapibarze. Sympatyczna kapibara dotarła do Kanady z odległej Australii w jednym kawałku. Niestety, nie można było tego samego



powiedzieć o jej desce snowboardowej. Ta podczas lotu ucierpiała i już na lotnisku rozpadła się na dwie części. Współczując zrozpaczonej kapibarze, Miga postanowiła oddać swoją deskę nowo poznanej koleżance z Australii.

Niedźwiedź wiedział, że oskarżenia wobec Migi wyssane są z palca albo z jakiegoś bardzo długiego ogona.

Ktoś rozpuścił plotkę, jakoby Miga, udając serdeczną koleżankę, częstowała swoich rywali cukierkami. A te miały powodować – no, jak by to ująć – nadmierne rozluźnienie. W rezultacie niektórzy rywale zamiast latać nad stokiem na desce, latali – owszem – ale zupełnie gdzie indziej. Do toalety!

Jakiś szczur piszczał, że się zatruł. A alpaka miała być świadkiem, jak Miga rozdała cukierki. Lama zaś pluła niemiłosiernie na dowód tego, że całe pudełko takich właśnie cukierków widziała w bagażu Migi. Wszystko to miało wskazywać, że Miga jest



oszustką. A ona? Ona nawet nie potrafiła się bronić. Przyznała tylko krótko, że rzeczywiście częstowała cukierkami, ale były to zwykłe miętówki. I rozplakała się. Zamiast obudzić w sobie niedźwiedzia, przemówiła głosem wrażliwej orki. Po czym spakowała się i zaszła na swojej wyspie. Tymczasem pod jej nieobecność burza, podsycana złośliwymi wypowiedziami dawnych konkurentów, rozpętała się na dobre.

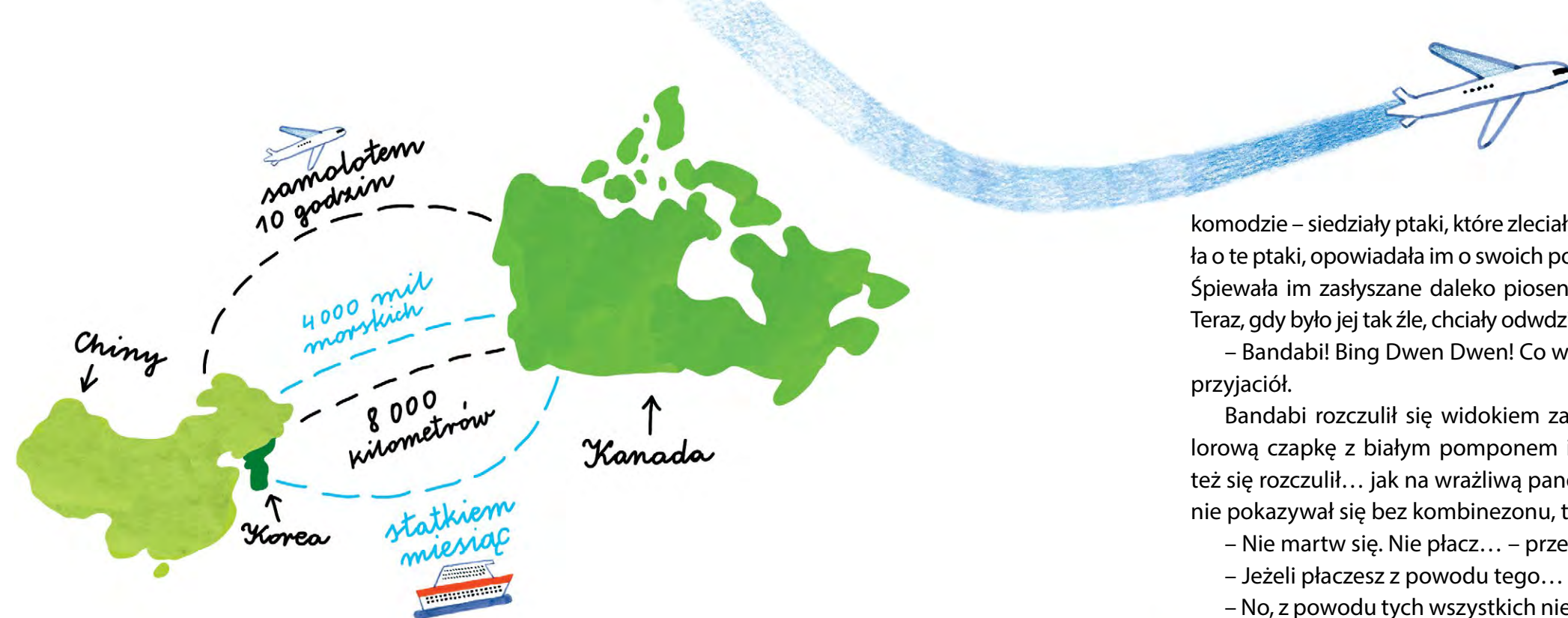
Jak donosił w swoim liście Bing Dwen Dwen, ci, którzy najczęściej przegrywali w rywalizacji z Migą, najgłośniej się teraz o niej wypowiadali. Byli wśród nich także tacy, którzy nazywali siebie jej serdecznymi przyjaciółmi – chyba tylko po to, by w blasku fleszy, poklepując Migę po plecach, trafić na pierwsze strony „Sportowego Echa”. Znowu mogli się pokazać. I jak z kapelusza (lub czapki z pomponem) wyciągnąć najdziwniejsze historie na jej temat. Dlaczego dotąd milczeli? Tego nie potrafili wyjaśnić.

– Biedna Miga – raz po raz wzdychał Bandabi. Aż w końcu doszedł do ostatniego wersu zapisanego maczkiem listu. – Tak jest, pandziu, pandzioszku! Lecimy do Kanady!!! – krzyknął Bandabi.

Koreę, w której mieszkał Bandabi, jak i Chiny, gdzie swój dom miał Bing Dwen Dwen, dzielił od Kanady wielki ocean. Ponad cztery tysiące mil morskich na wschód (tak dystans mierzyłaby orka) albo osiem tysięcy kilometrów (tak odległość mierzyłyby niedźwiedź i panda). Samolotem – dziesięć godzin podróży. „Statkiem – miesiąc” – zmartwił się niedźwiedź, który za samolotami nie przepadał. Ale z wielkiej przyjaźni i troski o Migę postanowił jednak kupić bilet lotniczy.

Dwa dni później na lotnisku w kanadyjskim Vancouver uściśnęli sobie łapy niedźwiedź Bandabi z półksiężycem na piersi, w błyszczącym kombinezonie „pandzioszek” Bing Dwen Dwen. Nie mieli jednak czasu na czułości. Trzeba było jak najszybciej znaleźć sposób, by dostać się na wyspę u wybrzeży Kanady, na której zaszła się ich Miga.

Swoje usługi na lotnisku od razu zaoferował emigrant z Ameryki Południowej, leniwiec Leni. Kiedy po kwadransie leniwie dotarli do samochodu, rzuciła im się w oczy plakietka na tylnej szybie auta. „Maks. 5 km na godzinę. Szybciej nie mogę”. Leniwiec szybciej jechać nie mógł, a Bandabi i Bing Dwen Dwen, mimo całej sympatii dla taksówkarza, nie mogli pozwolić sobie na tak leniwą podróż. Czas ich gonił. Musieli jak najszybciej dotrzeć do Migi.



Z pomocą przyszedł im pan Turbo-Kojot (tak się przedstawił) ze swoją taksy-amfi-
bią, czyli taksówką, która na lądzie jeździ, a po wodzie pływa jak motorówka.

– Ooooo! – wołał przerażony pandzioszek.

– Aaaaa! – wydzieraaał się Bandabi. Uszy trzepotały niedźwiedziowi na wietrze
w prowadzonym przez kojota pojeździe bez dachu.

Tak pędzili w stronę zatoki, a potem cięli fale, pokonując ocean i zbliżając się do
wyspy.

Kiedy dotarli na miejsce, zaskoczyła ich... cisza. Nawet ptaki nie dawały znać o so-
bie. Tylko ocean szeleścił w tle po swoim. Turbo-Kojot odpłynął pośpiesznie, a przy-
jaciele zostali sami na brzegu.

Nagle z głębi wyspy dobiegło cichutkie łkanie. Ruszyli więc w kierunku, skąd docho-
dził płacz. A kiedy stanęli u progu przestronnej drewnianej chaty, zobaczyli w niej Migę.
Łkała, siedząc przy stole. A wszędzie wokół niej – na oparciach krzeseł, na parapetach, na

komodzie – siedziały ptaki, które zleciały się z całej wyspy, by ją pocieszyć. Przez lata dba-
ła o te ptaki, opowiadała im o swoich podróżach i przygodach na sportowych zawodach.
Śpiewała im zasłyszane daleko piosenki, a one odpowiadały swoim ptasim śpiewem.
Teraz, gdy było jej tak źle, chciały odwzajemnić się jej za okazywaną im dobroć i przyjaźń...

– Bandabi! Bing Dwen Dwen! Co wy tu robicie?! – pisnęła Miga, zaskoczona wizytą
przyjaciół.

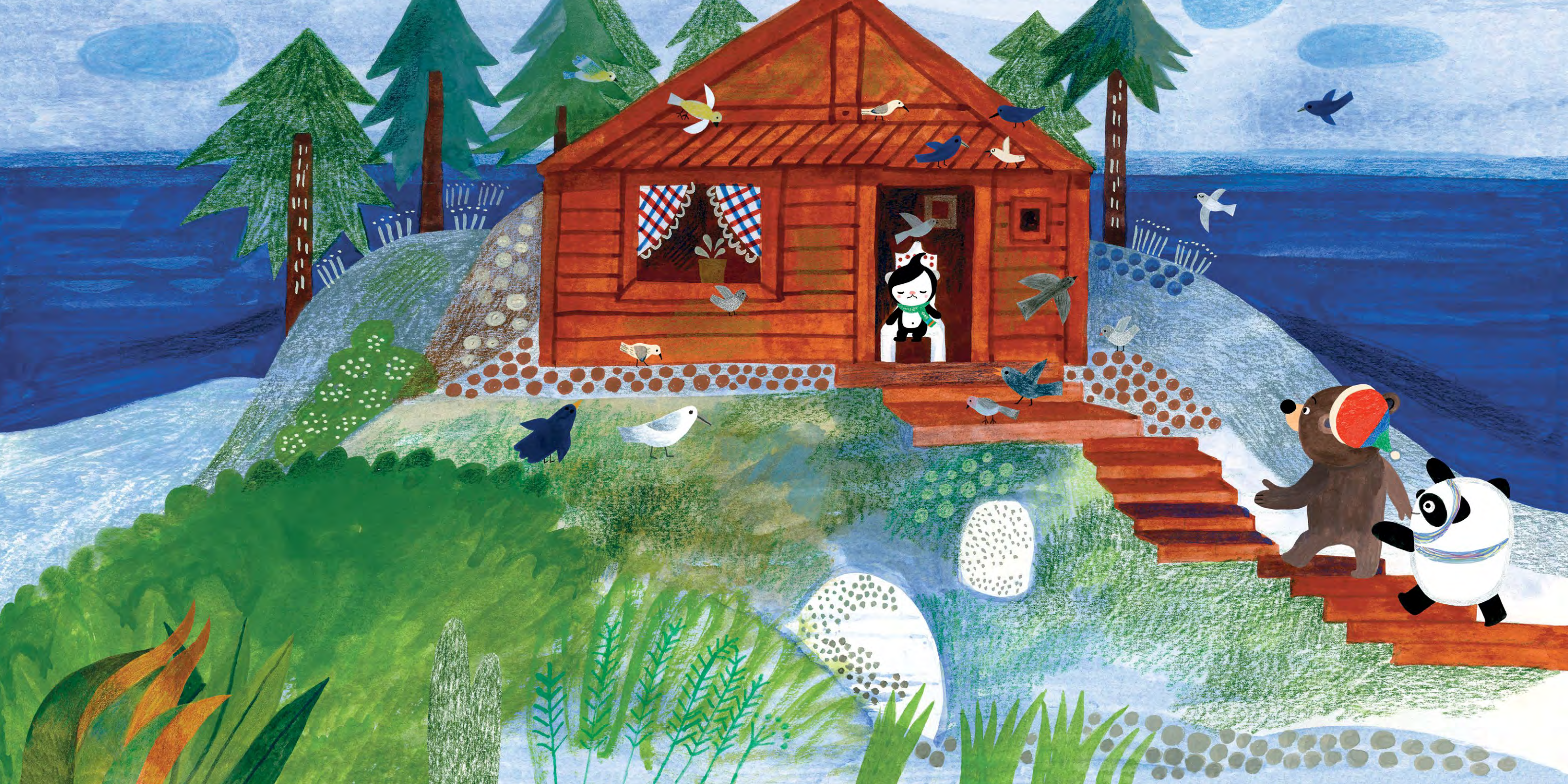
Bandabi rozczulił się widokiem zapłakanej przyjaciółki. Na przywitanie zdjął ko-
lorową czapkę z białym pomponem i zaczął międlić ją w łapach. Bing Dwen Dwen
też się rozczulił... jak na wrażliwą pandę przystało. I choć nigdy, przenigdy publicznie
nie pokazywał się bez kombinezonu, tym razem wyskoczył z niego, by uścisnąć Migę.

– Nie martw się. Nie płacz... – przekonywali, przytulając strapioną przyjaciółkę.

– Jeżeli płaczesz z powodu tego... no wiesz... – zawiesił głos Bandabi.

– No, z powodu tych wszystkich niesłusznych oskarżeń... – próbował dokończyć za
niego Bing Dwen Dwen, wyciągając do niej lewą łapkę z podobizną serca.





Jednak Miga wybuchnęła jeszcze głośniejszym płaczem.

– Jesteśmy tu – powiedział w końcu Bing Dwen Dwen – bo jesteśmy twoimi przyjaciółmi. Wiemy, że nic z tych oskarżeń nie może być prawdą. I będziemy stać za tobą murem.

– Zamiast bez sensu uważać się nad losem, popłyniemy na ląd i razem z tobą stawimy czoła oskarżeniom – zaproponował Bandabi. – Opowiemy, jak wielokrotnie pomagałaś nam i innym konkurentom, choć wcale nie musiałaś – dodał Bing Dwen Dwen. – I o tej kapibarze z Australii też wspomnimy! Tej, której oddałaś swoją deskę snow-boardową, rezygnując ze startu.

Różowy nosek Migi zmarszczył się nieco, oczy zrobiły się większe, a łzy przestały płynąć strumieniami. Była równie zdziwiona, co szczęśliwa.

Nagle chmara ptaków, które przysłuchiwały się temu wszystkiemu, wzbiła się w powietrze i trzepocząc skrzydłami, wyleciała przez drzwi, okna i komin z drewnianej chaty. Cała wyspa ożyła ich radosnym kwileniem, gwizdaniem i śpiewem. Nie minął kwadrans, a trzepot skrzydeł znowu wypełnił wnętrze chaty. W drzwiach stanął przywołany przez ptaki Turbo-Kojot!

– To co, płyniemy na ląd? Odpalać amfibię?! – zaśmiał się, przewidując odpowiedź.

* * *

Echo tej głośnej historii niesło się jeszcze długo po całym sportowym świecie. Bing Dwen Dwen i Bandabi ręczyli łapą, ogonem i honorem za uczciwość Migi. A ta była im wdzięczna, że w najtrudniejszej chwili mogła na nich liczyć, nawet jeżeli wszyscy inni odwrócili się od niej. „To jest prawdziwa przyjaźń” – pomyślała.

Długo po tym, jak w gazetach rozpętała się burza niesłusznych oskarżeń, leśna policja zakończyła dochodzenie.





Za niedyspozycję zawodników odpowiedzialny okazał się bigos. Bigos starego borsuka. Pocziwina z dobrego serca dodał do niego grzybki dla lepszego smaku. A że na grzybach się nie znał, więc – jak sam przyznał – możliwe, że pomylił je z czymś podobnym do grzybków... A cukierki?! Niczemu nie były winne. Podobnie jak Miga. Szkoda jednak, że o tym gazety napisały bardzo małą czcionką i ze znacznie mniejszym zapalem.

Burza wybuchła raz jeszcze, gdy policja trafiła na nowy ślad... ślad szczurzego ogona. To właśnie stary szczur Hą Hę najgłośniej krzyczał przed kamerami, że zaszkodziły mu cukierki od Migi. I to on przekonywał wszystkich poszkodowanych, że to zapewne jej sprawka, podstęp, by wyeliminować konkurentów. Tymczasem ślady szczurzego ogona znalezione przy kadzi z bigosem dobitnie wskazywały na to, że szczur maczał w tej sprawie swoje łapki i... ogon. Przyparty do muru, przyznał się do wszystkiego. Wykrztusił, że to wszystko z zazdrości. Ponieważ nigdy nie pokonał Migi w zawodach, postanowił dopiąć swego w inny sposób – zainscenizował całą tę awanturę, a winą obarczył niewinną Migę.

Krótko, ale dosadnie podsumował całą sprawę znany komentator sportowy Tymoteusz Dzik:

– Ale bigos!

I tak Miga, która z zapalem surfowała po wezbranych falach oceanu lub śmigła po zaśnieżonych stokach, tym razem musiała zmierzyć się z falą niesłusznej krytyki i pochopnych, często nienawistnych komentarzy. Niektórzy nazywają to zjawisko „falą hejtu”, a wymyślone nienawistne historie „fejkami”.

– Porwana przez fale oceanu poradziłabym sobie sama. W objęciach lawiny nie byłoby łatwo, ale też dałabym sobie radę. A przed tą falą nie zdołałabym się obronić bez pomocy prawdziwych przyjaciół – powiedziała Miga, patrząc na Bing Dwena Dwena i Bandabiego, po czym zmarszczywszy różowy nosek, uśmiechnęła się najpiękniej, jak potrafiła.



Władysław Komar - złoty medal w pchnięciu kulą.



Polscy olimpijczycy zdobyli 21 medali, w tym 7 złotych.



Emblemat Igrzysk XX Olimpiady Monachium 1972.



Waldi - pierwsza oficjalna maskotka olimpijska (Monachium 1972). Jest jamnikiem, bardzo popularnym zwierzęciem w Bawarii, słynącym z wytrzymałości, wytrwałości i zwinności. Według książki "The Olympic Marathon" (2000), trasa

maratonu olimpijskiego w 1972 roku odpowiadała kształtowi maskotki, z głową psa skierowaną na zachód.



Bohaterem reprezentacji Polski był szermierz Witold Woyda, zdobywca dwóch złotych medali. Kolejny medal do swojej olimpijskiej kolekcji dołożyła Irena Szewińska.

Katarzyna Ryrych

Środek tarczy

Psiak był, jak go określiła Natka, niepełnosprawny. To znaczy nie miał jednej łapy, co wcale nie przeszkadzało mu w bieganiu, i patrząc z daleka, trudno było się domyślić, że coś jest z nim nie tak.

- Taki już się urodził - wyjaśniła babcia. - Gdyby nie to, zdobywałby na wystawach psów medale jak jego bracia i siostry.

Nie miałem więcej pytań. Czyli zwierzęta też mogą, jak ludzie, rodzić się z różnymi wadami.

- Jak ma na imię?



Pierwszymi symbolami olimpijskimi są hymn olimpijski i koła olimpijskie. W latach 40. XX wieku pojawiły się następne symbole olimpijskie: maskotki, emblematy (logotypy) i piktogramy.

Skoro miałem się nim opiekować, kiedy babcia pojedzie w podróż życia, powinienem wiedzieć o nim wszystko. Lub prawie wszystko.

– Waldi – padła odpowiedź. – Wiesz, jak ten Waldi.

– Jak to „ten Waldi”? – zdziwiłem się, bo powiedziała to tak, jakbym wiedział, o kogo chodzi.

– A... – babcia uśmiechnęła się – prawda, możesz tego nie wiedzieć. Zrobię sobie kawę... i...

– Mamo, a która to dzisiaj kawa? – zapytał tata, zajrzawszy na balkon, gdzie siedzieliśmy we troje: ja, babcia i jamnik.

– Druga – odpowiedziała babcia. – I przestań się tak o mnie martwić. To jest nie do zniesienia. Poza tym elektroniczny papieros też szkodzi.

Tata momentalnie schował najnowszy wynalazek do kieszeni, zupełnie jak mały chłopak, którego przyłapano na paleniu.

– Remis – mruknąłem cicho, a Waldi pomachał ogonem.

Popołudnie nie różniło się niczym od innych sobotnich popołudni: z pobliskiego parku dobiegały okrzyki dzieciaków i szczekanie psów, od strony działek wiatr niósł zapach grillowanych kiełbasek, a piętro wyżej sąsiad słuchał muzyki.

– Waldi... – powiedziała babcia, stawiając na malutkim stoliku filiżankę kawy i szklankę soku dla mnie. – Był maskotką igrzysk olimpijskich w Monachium. To był ten rok, kiedy nasi sportowcy zdobyli aż siedem złotych medali, ale dla mnie najważniejsza była Irena Szydłowska, łuczniczka... Znałam ją, a właściwie to moja mama ją знаła. Pani Irena zdobyła srebrny medal i przywiozła mi maskotkę, jamnika. Dla mnie, małej dziewczynki, było to ogromne przeżycie – że pamiętała o mnie. To właśnie był słynny Waldi, pierwsza maskotka w historii igrzysk. Oczywiście pomysł nie wziął się znikąd, bo naprawdę był kiedyś jamnik, który miał na imię Waldi, a potem jego właściciel wymyślił maskotkę. Przyszło mu do głowy, że sportowa impreza mogłaby mieć taki miły symbol.

– Nasi kibice noszą szaliki, wiesz? – przerwałem jej.

Babcia pokiwała głową.

– A po meczu zabierają sobie te szaliki i się biją – powiedziała. – Prawdziwy sport nie powinien mieć nic wspólnego z przemocą. – Urwała i wyspała do filiżanki łyżeczkę cukru.

Historyjka wcale nie wydawała mi się niezwykłą. A może byłem już za stary na takie opowieści. Po prostu dowiedziałem się, kim był pies Waldi, i tyle.

– Prawdziwy Waldi był jak ten mój, brązowy... – uśmiechnęła się babcia. Wyciągnęła rękę i pogłaskała długi, wąski pysk psa. – A maskotka miała trzy kolory: niebieski, zielony i żółty jak niebo, łąki i pola Bawarii.

– Jak to maskotka – powiedziała Natka, która do nas dołączyła. – Ale dlaczego akurat jamnik, babciu? Na taką sportową maskotkę nadawałby się raczej chart.

– Bo szybko biega, tak? – roześmiała się babcia.

– Tak – przytaknęła moja siostra.

– Naprawdę myślisz, że wystarczy umieć szybko biegać, żeby zdobywać medale?

Natka zmarszczyła brwi.

– N... no tak – bąknęła.

– Nie do końca.

Babcia odstawiła filiżankę i mrugnęła do mojej siostry. Przyszło mi do głowy, że wcale nie wygląda na swój wiek. Może dlatego, że od lat prowadziła zajęcia z jogi dla seniorek w swoim miasteczku?

– Nie wystarczy być szybkim jak chart – wyjaśniła. – Trzeba jeszcze być upartym... jak jamnik. Te psy mają wszystkie cechy potrzebne dobrym sportowcom: są odporne i zwinne... i, jak już mówiłam, uparte. Od odkrycia w sobie talentu do zajęcia miejsca na podium prowadzi bardzo długa droga.

– Długa jak jamnik – zażartowałem.

– Mniej więcej. Całe godziny treningu, właściwa dieta... – Tu babcia chrząknęła i spojrzała surowo na batonik, który trzymałem w ręce. – No i zawody. Radzenie sobie z porażką i z sukcesem. To nie przychodzi samo. Ale chyba pora na popołudniowy spacer.

Na dźwięk słowa „spacer” Waldi zaczął energicznie machać ogonem.

– To ja pójdę z wami – zaofiarowała się Natka.



Z balkonu przyglądałem się, jak Waldi myszkuje w trawie albo przystaje i szczeka na inne psy. Przyszło mi do głowy, że musi być naprawdę piekielnie uparty, skoro mimo braku jednej łapy robi wszystko to, co inne psy.

„Gdyby – pomyślałem – był człowiekiem, pewnie by się zała... Zaraz, zaraz. Chyba trochę przesadziłem”. Przed moimi oczami pojawił się Jurek, mój kolega z klasy. Jak mogłem zapomnieć?!

Z Jurkiem przyjaźniłem się od pierwszej klasy. Siedzieliśmy w jednej ławce, a w ubiegłym roku wysłano nas razem na kolonie.

Jurek, gdyby chciał, zostałby jednym z najbardziej popularnych chłopców w naszej szkole, ale nigdy nie chwalił się swoim tatą.

A było się czym chwalić...

W domu mojego kolegi całą ścianę zajmowały sportowe dyplomy i medale jego ojca, a na półce naprzeciwko stały – jeden obok drugiego – puchary.

I nie byłoby w tym niczego niezwykłego, bo dobrzy sportowcy odnoszą sukcesy, gdyby nie to, że tata Jurka poruszał się na wózku.

Bo – jak jamnik mojej babci – przyszedł na świat bez nóg.



Cała historia naszej przyjaźni z Jurkiem przesuwiała się przed moimi oczami jak film. To było zupełnie oczywiste, że rodzice odbierali nas ze szkoły, bo byliśmy za mali, by wracać do domu bez opieki. Jedni przychodzili piechotą (jak moja mama), inni przyjeżdżali samochodami (jak rodzice Zuzki), a tata Jurka przyjeżdżał takim śmiesznym pojazdem, który wyglądał trochę jak motor, a trochę jak samochód. I wszyscy zazdrościli Jurkowi, że wraca do domu czymś takim. Wtedy nie miałem pojęcia, że tata Jurka nie ma nóg.

Kiedy zrobiliśmy się na tyle duzi, że wracaliśmy do domu sami, zapomniałem o tacie Jurka i dopiero w piątej klasie...

– Taki jak twój ojciec to nie miałby życia w Sparcie – oświadczył Maciek.

Na lekcji rozmawialiśmy o dawnej Grecji i o tym, jak kiedyś wyglądały igrzyska olimpijskie. Nasz wychowawca i nauczyciel historii, zwany przez wszystkich Grunwaldem, potrafił opowiadać o starożytności tak ciekawie, że prawie przenosiliśmy się do Aten czy Rzymu, jakby wsadził nas w wehikuł czasu i wysłał w podróż.

– To był czas – mówił, spacerując między ławkami – kiedy nagrodą był wieniec z gałązek oliwnych, a oszustów, którym zachciało się wygrać w niegodny sposób, surowo karano. W ten sposób zapamiętano niejakiego Kallioposa, Ateńczyka, który... jak byśmy to dzisiaj powiedzieli... próbował kupić sobie zwycięstwo. I co... – Grunwald dramatycznie zawiesił głos.

– I...? – wyrwało się Maćkowi.

– Musiał wystawić pomnik Zeusowi. A na cokole wyryto jego imię i opisano występ, jakiego się dopuścił. Gdyby tak nazwiska wszystkich, którzy ściągają na sprawdzianach...

Machnął ręką i podszedł do tablicy.

– A medale? – zapytał Marek.

– Nie było medali – odparł Grunwald. – Był jedynie wieniec i sława. I tytuł olimpnika.

– Tylko tyle? – zdziwiła się Beata.

– Tylko – uśmiechnął się Grunwald. – Dzisiaj zwycięzców igrzysk olimpijskich witają na lotnisku tłumy, a olimpionik powracał do swojego miasta przez dziurę w murze. To oznaczało, że jeśli miasto ma takiego obrońcę, nie musi obawiać się wrogów... Na jego cześć pisano wiersze... A, zapomniałem wam powiedzieć, że poezja i muzyka też były swego czasu dyscyplinami olimpijskimi... Artyści rywalizowali ze sobą, kto stworzy lepsze dzieło podczas igrzysk... No i oczywiście w starożytności nie było towarzyszących igrzyskom maskotek. A co do sztuki... Jesteście w tym wieku, kiedy jeszcze nie czyta się poezji, ale powinniście zapamiętać, że polski poeta, Kazimierz Wierzyński, jako pierwszy Polak otrzymał złoty medal za tomik wierszy na letnich igrzyskach olimpijskich w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym roku w Amsterdamie...

– Napisał wiersze po grecku?! – wyrwało się Maćkowi.



Olympionik – zwycięzca igrzysk w starożytnej Grecji nagradzany był wieniec oliwnym. W dniu swojego zwycięstwa otrzymywał liść palmy.



Grunwald rzucił mu miazdzące spojrzenie.
– Zostały perfekcyjnie przetłumaczone na język niemiecki – wyjaśnił.
I w tym momencie zadzwonił dzwonek na przerwę.

* * *

– Coś ty wyskoczył z tą Spartą? – Dopadłem Maćka, kiedy zmierzał do szkolnego sklepiku.
– Przecież wszyscy wiedzą, że ojciec Jurka jest kaleką. A takich w Sparcie strącano ze skały. Jak ona się nazywała?... Tarpańska chyba.
– Tarpejska – poprawił go Grunwald, który miał dyżur w czasie przerwy i przechodząc obok, usłyszał naszą rozmowę. – Ale to już

Igrzyska olimpijskie są wydarzeniem, gdzie przeszłość spotyka się z teraźniejszością.



Kazimierz Wierzyński – polski poeta, zdobywca złotego medalu w Olimpijskim Konkursie Sztuki i Literatury (1928) za tomik wierszy „Laur olimpijski”.

nie te czasy. Dzisiaj ktoś, kto jest osobą z niepełnosprawnością, może być sportowcem i brać udział w igrzyskach paraolimpijskich.

I odszedł, pozostawiając nas z otwartymi ustami.

– Paraolimpijskie – mruknął Maciek – to chyba dla paralityków.

– Sam jesteś paralityk – odezwała się Zuza. – Umysłowy. Ty... skało tarpańska. To są igrzyska dla osób z niepełnosprawnościami.

Całe szczęście, że Jurek nie słyszał tej rozmowy, bo pewnie byłoby mu bardzo przykro. Kiedy wróciłem do domu, otworzyłem komputer i zacząłem szukać wszystkiego na temat tych igrzysk.

Pływanie... wioślarstwo... łucznictwo... strzelectwo... Nie miałem pojęcia, że sportowcy z niepełnosprawnościami mogą startować w takich sportach!

Oczywiście, w starożytnej Grecji trudno byłoby im brać w nich udział. Nagle poczułem się dumny, że żyję w czasach, kiedy każdy – jeśli ma wystarczająco dużo silnej woli i uporu – może być sportowcem.

Następnego dnia zagadnąłem Jurka – tak od niechcena – jaki sport uprawia jego ojciec. Na twarzy mojego przyjaciela pojawił się uśmiech.

Pierwsze udokumentowane igrzyska olimpijskie odbyły się w Olimpii (Grecja) w 776 roku p.n.e. Od tego czasu dużo się zmieniło, ale wiele aspektów starożytnych igrzysk olimpijskich wpłynęło na filozofię i kształt igrzysk w czasach współczesnych.

– Tata trenuje łucznictwo – odparł. – Naprawdę jest w tym dobry. Jeśli chcesz, to ci pokażę...

W ten sposób po lekcjach zamiast do domu poszedłem do Jurka.

– To wszystko trofea mojego taty. – Jurek wskazał medale, dyplomy i puchary. – Mama nazywa to ścianą chwały. Ale to jest bardziej dla nas, nie pokazujemy tego wszystkim.

– Dlaczego? – wybuchnąłem. – Wtedy takie głąby jak Maciek nie gadałyby bzdur.

W odpowiedzi Jurek wzruszył ramionami.

– Ale tata tego nie robi po to, żeby się chwalić – odparł.

– To po co? – zapytałem i zdałem sobie sprawę, że to nie było najmądrzejsze pytanie.



Grunwald spacerował po korytarzu i od czasu do czasu groził komuś palcem. Te dyżury naprawdę miały sens, bo niektórzy gonili po korytarzu jak wariaci i czasami strach było przejść do toalety.

– No i z czym przychodzisz, Marecki? – zapytał. – Niech zgadnę... macie dzisiaj sprawdzian z matematyki i nagle rozbolał cię ząb.

Pokręciłem głową.

– Po prostu chciałem porozmawiać – powiedziałem. – Kiedy na historii opowiadał pan o Grecji i igrzyskach...

Grunwald wysłuchał mnie i uśmiechnął się.

– To duch sprawia, że ciało jest silne – stwierdził. – Siła woli. A twój pomysł bardzo mi się podoba. Myślę, że to się da zrobić.

– Dziękuję – powiedziałem.

Może i Grunwald stawiał nam wysoko poprzeczkę. Może surowo oceniał nasze sprawdziany. Może nie dawał się nabrać na ból zęba przed klasówką albo na awarię tramwaju, która sprawiła, że ktoś się spóźnił, jednak był prawdziwym przyjacielem, na którego zawsze można było liczyć.

Na następnej przerwie Grunwald poprosił do siebie Jurka.

– Ciekawe, co ma do mnie? – zapytał.

– Idź, to się przekonasz.

– Chyba coś wiesz – mruknął Jurek.

Oczywiście, mogłem powiedzieć mu o wszystkim, ale wolałem, by zrobił to Grunwald. W końcu obiecał, że zajmie się wszystkim.



W poniedziałek w szkolnej gablocie tuż przy drzwiach sekretariatu pojawił się plakat informujący, że w czwartek w południe odbędzie się spotkanie ze znanym sportowcem.

– Ja wam mówię, że zaprosili Lewandowskiego – zawołał Albert.

– Albo Małysza – dodał ktoś inny.

– Dlaczego zaraz sportowca, a nie sportsmenkę? – zaperzyła się Justyna. – Mało kobiet zdobywa puchary? Choćby Iga Świątek.

– Czytaj ze zrozumieniem: ZE ZNANYM SPORTOWCEM. Gdyby chodziło o kobietę, toby to inaczej napisali.

Dla uczestników spotkania przygotowano ławki i krzeselka w sali gimnastycznej i zaczęliśmy schodzić na dół, żeby zająć miejsca. Usiedliśmy dokładnie na wprost aksamiitnej kurtyny, która najwyraźniej coś zasłaniała.

– O – zauważył Maciek – stary Jurka przyjechał.

– Ciekawe po co – zainteresowała się Zuzka.

– Siedzi w domu, nudzi się – odparł Maciek – to zrobili mu frajdę. Ale ma fajną opiekunkę, zobacz.

Maciek szturchnął mnie łokciem. Mama Jurka w zielonym, sportowym dresie wyglądała jak modelka. Ukryłem uśmiech.

– Zasłoni mi wszystko tym wózkiem – jęknęła Beata. – Jurek, mógłbyś...

– Tak – odpowiedział Jurek.

Wózek powoli wyjechał na środek sali. A potem dwu chłopaków z ósmej b rozsunęło kurtynę i oczom wszystkich ukazały się znane mi dyplomy, medale i puchary.

– Chciałbym serdecznie powitać w murach naszej szkoły pana Stefana Wierzbę, który podzieli się z wami opowieścią o tym, jak...

Głos Grunwalda utonął w oklaskach.

– No i jak tam twoja Skala Tarpejska – syknąłem.

– Ożeż... – jęknął Maciek. – I to wszystko – ruchem głowy wskazał na imponującą kolekcję – to jego?

– Nie – odpowiedziałem – to podróbki.

Maciek gapił się na dyplomy, medale i puchary z tak głupią i nieszczęśliwą miną, że zrobiło mi się go żal.

– Po raz pierwszy biorę udział w takim spotkaniu – powiedział ojciec Jurka – więc wybaczone mi brak doświadczenia. Zrobiłem to na prośbę jednego z kolegów mojego syna.

– Wiedziałaś – szepnęła Zuzka. Skinąłem głową.

Słuchaliśmy opowieści o chłopcu, który postanowił trenować łucznictwo, bo nie mógł uprawiać żadnego sportu, w którym niezbędne były dwie sprawne nogi.

– Wyobrażałem sobie, że jestem Robin Hoodem, Wilhelmem Tellem, niewidzialnym łucznikiem... Pierwszą tarczę do strzelania do celu zrobił mi mój ojciec i to on zapisał mnie do klubu. Mieszkaliśmy na wsi. Tata trzy razy w tygodniu zabierał mnie do miasta, żebym mógł trenować. Mój trener orzekł, że mam talent, i po roku pojechałem na pierwsze zawody. Wtedy kupiliśmy większy samochód, żeby mógł się do niego zmieścić mój wózek. I tak to się zaczęło.

Mama wyszukiwała sportowe imprezy i – jak to mawiacie – ogarniała całą logistykę. Oczywiście chodziłem też do szkoły. Kiedy nie było mnie na lekcjach przez kilka dni, koledzy robili mi notatki, a po powrocie starałem się wszystko uzupełnić. Teraz przygotowuję się do igrzysk paralimpijskich...

W sali panowała taka cisza, że można było usłyszeć brzęczenie muchy. Spojrzałem na Jurka. Siedział obok swojej matki, w pierwszym rzędzie.

– Kiedyś – Stefan Wierzba uśmiechnął się – dawno temu byłbym zwyczajnym niepełnosprawnym chłopakiem, który mógłby jedynie pomarzyć o czymś takim. Ale świat idzie do przodu, zmienia się.

* * *

– Leon! Leon! Mam pomysł! – Natka wpadła do mieszkania jak burza.

Szybko powróciłem ze świata wspomnień do rzeczywistości.

– Co znowu? – zapytałem.

– Ten nasz Waldi – zdyszana usiadła obok mnie na balkonie – jest naprawdę super-mądry! Nie szczeka na inne psy, nie goni gołębi. Wiesz, jak się wszyscy nim zachwycają?

Waldi, wywiesiwszy język, usiadł obok niej i wyglądał tak, jakby się uśmiechał.

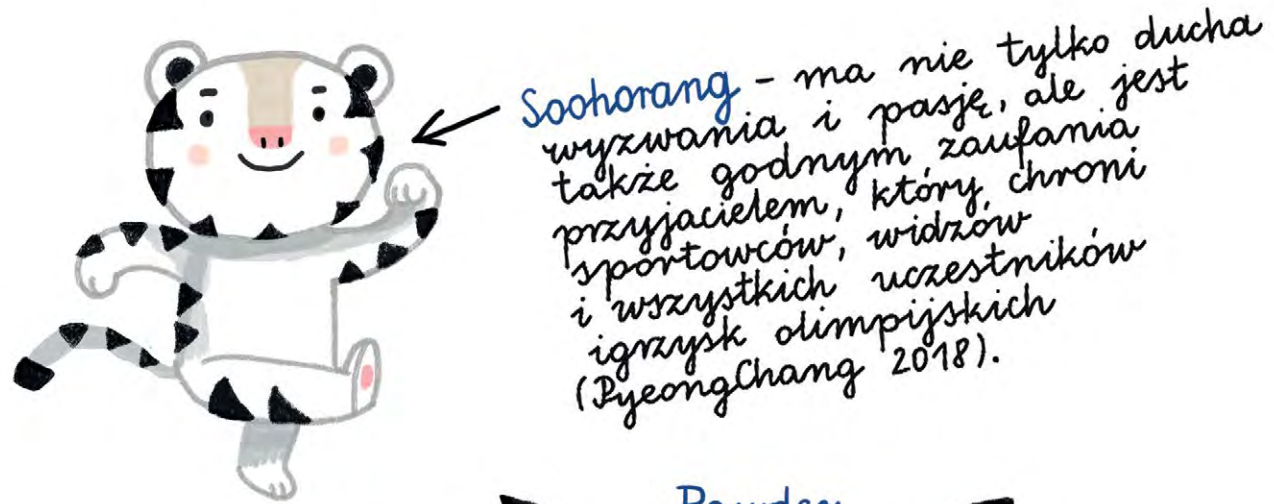
– A w ogóle to wpadłam na świetny pomysł – oznajmiła Natka. – Zrobimy w szkole wystawę. O igrzyskach olimpijskich. I o maskotkach, jakie powstają specjalnie na tę okazję. Babcia obiecała, że pożyczy nam kilka zdjęć pani Ireny! No i Waldiego, bo ma go do dzisiaj!

Trzeba przyznać, że to był strzał w sam środek tarczy. I przyszło mi do głowy, że powinienem opowiedzieć babci historię Stefana Wierzbę. Skoro znała kogoś, kto zajmował się łucznictwem i zdobywał medale, to na pewno ją to zaciekało.

A może nawet wybierzemy się wspólnie odwiedzić Jurka i jego ojca?



Irena Sztydlowska - srebrna medalistka olimpijska w łucznictwie (Monachium 1972).



Soohorang - ma nie tylko ducha wyzwania i pasję, ale jest także godnym zaufania przyjacielem, który chroni sportowców, widzów i wszystkich uczestników igrzysk olimpijskich (PyeongChang 2018).



Coal



Powder



Copper

Maskotki zimowych igrzysk olimpijskich w Salt Lake City (2002). Powder to zajęczyca w rakietach śnieżnych, Copper to kojot, a Coal to czarny niedźwiedź. Szybkość zająca, zdolność kojota do wspinania się na najwyższe szczyty gór i siła czarnego niedźwiedzia ilustrują trzy wyrazy z motto olimpijskiego: „citius, altius, fortius” - szybciej, wyżej, silniej.

Marcin Szczygielski



Zima była ciepła i mokra. Mróz chwytał tylko przed świtem, więc gdy Mirka wychodziła z domu, by zdążyć na szkolny autobus, ślizgała się po oblodzonej ścieżce. Nie raz wywinęła na niej fikołka, a cienka warstwa lodu, pokrywająca błotniste kałuże, nie uchroniła jej przed ubrudzeniem niebieskiej kurtki.

– Oj, oj, oj! – biadoliła po każdym takim upadku babcia. – Jak to teraz doczyścić? Puchówki nie wypiorę przecież w pralce, bo się zmarnuje. Trzeba będzie znowu do Leska zawieźć, do pralni. Szmat drogi! Że też z ciebie taka niezdara, Mireczko. No, ale nie twoja wina przecież.

Mirka gotowała się ze złości, ale wiedziała, że kłótnia z babcią nic nie zmieni. Nie da się jej przekonać. Babcia nigdy nie zmieniała zdania. Mirka szła więc do swojego pokoju, siadała po turecku na szerokim parapecie i wyglądała na porośnięte gęstym lasem, spowite mgłami wzgórze za Dziurdziowem.

Wcale nie była niezdarna! Owszem, trochę utykała, bo choć od wypadku minęły już prawie trzy lata, jej lewa noga wciąż nie odzyskała jeszcze pełnej sprawności. Ale na tej stromej, oblodzonej ścieżce każdy by się wywalił! A już babcia pierwsza. Tyle że babcia o tej porze roku prawie nie wychodziła z domu...

Mieszkały za dziurdziowskimi łąkami, w pewnym oddaleniu od wioski. Ten dom kupili rodzice Mirki. Przeprowadzili się



tu z Sanoka, gdy miała siedem lat. Pierwszą klasę rozpoczęła już w szkole w Hoczwi. Choć brakowało jej dawnych kolegów z podwórka w Sanoku, szybko pokochała nowy dom – był stary, drewniany, głęboko wbity w zbocze, przez co od południa miał tylko jedno piętro, a od północy dwa. Mama i tata sami go remontowali. Był za duży dla nich trojga, ale planowali, że w przyszłości w pokojach na parterze urządzią apartamenty dla turystów. Nie zdążyli.

Mirka niewiele pamiętała z tamtego dnia. Była późna wiosna, słońce grzało, na błękitnym niebie nie było ani jednej chmurki. Pojechali na przełęcz Przysłup. Zostawili auto na leśnym parkingu i ruszyli w las na rowerach. Tata chciał odszukać ruiny poniemieckich bunkrów, które znajdowały się w tamtej okolicy. Razem z mamą opracowywali Wielką Mapę Bieszczadzkich Superatrakcji – oczywiście z myślą o przyszłych gościach Leśnych Ostępów, bo tak nazwali ich dom. Na tej mapie znalazło się już mnóstwo ciekawych miejsc! Na przykład punkt widokowy na Czaszyn i Góry Słonne, niezwykła skała Kamienne Serce Macochy czy ruiny klasztoru Karmelitów w Zagórze. Wszystkie te miejsca odwiedzili i obfotografowali. Mirka uwielbiała te wyprawy.

Jechali leśną drogą – pierwszy tata na swoim góralu, potem Mirka na pomarańczowym rowerze z pomponami przy uchwytach kierownicy, a na końcu mama, która ciągnęła przyczepkę, w której był koc, kosz z jedzeniem i turystyczna kuchenka. Planowali rozbić obozowisko przy bunkrach i zjeść tam obiad.

Tacie dość szybko udało się znaleźć ruiny. Zostawili rowery przy wielkim świerku – na wszelki wypadek spięli je łańcuchem, który tata zamknął na kłódkę.

– Nigdy nic nie wiadomo – oznajmił i włożył kluczyk do saszetki przytroczonej do paska.

Kompleks starych bunkrów zajmował duży teren. Korzenie drzew rozsądziły grube betonowe ściany. Z porozrywanych bombami stropów sterczały zardzewiałe, pogięte pręty.

– Oj, nie wiem... – powiedziała z wahaniem w głosie mama. – To wszystko robi raczej posępne wrażenie. Jak z horroru.

– Niektórzy uwielbiają takie klimaty! – oświadczył tata i uśmiechnął się szeroko. – Wejdzmy na tamten pagórek. Zrobię kilka fotek, a potem rozbijemy obóz. Idealne miejsce!





Kamil Stoch – polski skoczek narciarski, trzykrotny mistrz olimpijski indywidualnie, brązowy medalista w konkursie drużynowym.

Ziemia usunęła im się spod stóp, nim zdążyli wspiąć się na wznórek. Mama krzyknęła, Mirka też, a potem zapadła ciemność.

Gdy Mirka się obudziła, leżała w szpitalu. Nikt jej nic nie mówił, nikt nie odpowiadał na pytania! Chciała zeskoczyć z łóżka, krzyczeć, wołać mamę, ale zabrakło jej sił. O tym, co się stało tamtego majowego dnia, dowiedziała się dopiero później, gdy już przyjechała babcia.

W zalanym wodą, wypełnionym gruzami i żelastwem głębokim bun-krze odnaleziono ich dopiero po

czterdziestu pięciu godzinach. Całe szczęście, że tata uprzedził znajomych o wyprawie i udostępnił im swoje położenie w komórce. Przeżyła tylko Mira.

Taka zwykła, niedzielna wyprawa na rowerach. Słoneczny dzień. Piknik... Wciąż nie mieściło jej się to w głowie! A wystarczyłoby, gdyby wybrali inną drogę. Gdyby skręcili. Gdyby nie wchodzili na tamto zbocze...

Babcia Miry, mama taty, mieszkała w Krakowie z ciotką Basią. Nie wchodziło w grę, żeby Mirka tam zamieszkała. W dwóch pokojach gnieździli się ciocia z wujkiem i ich synowie, bliźniacy. Babcia spała w kuchni. Przeprowadziła się więc do Dziurdziowa i zamieszkała z Mirką w Leśnych Ostępach. Mira bardzo kochała babcię i była jej wdzięczna za to, że jednak nie sprzedała domu – pieniędzy starczyłoby na porządne mieszkanie w mieście, za którym babcia tak tęskniła. Została jednak w Leśnych Ostępach dla Miry. W ogóle życie z babcią byłoby całkiem fajne, gdyby nie to, że wszystkiego jej zabraniała!

Nie biegaj. Nie wychodź. Uważaj, jest zimno. Uważaj, jest wysoko. Uważaj, jest gorąco. Nie możesz iść nad staw z Goską, to niebezpieczne. Nie możesz pomagać

przy truskawkach Frankowi, spocisz się. Uważaj na nogę. Uważaj na wiatr. Uważaj na słońce...

To było takie denerwujące! Ale Mira nie protestowała, bo przecież babcia mogła mieć rację. Trzeba uważać. Trzeba być ostrożnym. Ziemia może się usunąć spod stóp w najmniej spodziewanym momencie i człowiek spadnie w ciemność...

Dwa razy w tygodniu chodziła po szkole na fizjoterapię w Hoczewi, do pana Marka, który narzekał, że Mirka robi za małe postępy. A jak miała robić większe, skoro nie wolno jej było prawie wcale wychodzić z domu?! Owszem, lubiła czytać książki, które podsuwała jej babcia. Jednak od czytania książek jej noga się nie leczyła.

Tamtego dnia, gdy Mira wysiadła ze szkolnego autobusu i ruszyła stromą dróżką, prowadzącą do Leśnych Ostępów, z ciężkich, popielatych chmur, wiszących nisko nad bieszczadzkimi górami, zaczął sypać śnieg. Wielkie, zachwycające płatki powoli spływały na ziemię w bezwietrznym powietrzu. Mira zatrzymała się, popatrzyła w górę, roześmiała się i wystawiła język, by złowić jedną ze śnieżynek. Poczuła, że nos jej marznie – temperatura spadała! Nareszcie! Bo co to za zima w górach bez śniegu i mrozu?

– Ale by się cieszyła... – szepnęła do siebie Mira, myśląc o swojej mamie.

Mama Mirki trenowała biegi narciarskie. Studiowała w Krakowie na AWF-ie i myślała o sportowej karierze. Odnosiła nawet sukcesy, zdobywała medale w zawodach krajowych i marzyła o tym, że kiedyś będzie reprezentowała Polskę na międzynarodowych konkursach, a może nawet... na igrzyskach olimpijskich.

Jednak pojawił się w życiu mamy tata Mirki, a wkrótce potem na świecie pojawiła się i Mirka. Mama zapomniała o swoich olimpijskich marzeniach. Ale Mirka widziała błysk w jej oczach, gdy oglądała w telewizji relacje z zimowych igrzysk olimpijskich w PyeongChang w 2018 roku. Choć była jeszcze malutka, zapamiętała pełne emocji okrzyki, jakimi mama dopingowała jedną z polskich zawodniczek.

– Widzisz? – Pokazywała Mirce ekran telewizora. – Patrz! Kiedyś możesz być jak ona! A ja będę z ciebie dumna...

Czy mama żałowała wtedy, że jednak nie wybrała sportowej drogi? Że nie znalazła się wśród narciarek w dalekiej Korei i nie wystartowała w biegu sztafetowym obok swojej

idolki? Chyba troszkę tak. Opowiadała córce o narciarskich konkurencjach. Powiesiła w jej pokoju plakat reklamujący zimowe igrzyska olimpijskie w Korei, na którym biały tygrysek z zawadiacką miną szerokim gestem zapraszał widzów na zaśnieżone stoki. I drugi, z wcześniejszych o szesnaście lat igrzysk w amerykańskim Salt Lake City, na którym pozdrawiali sportowych kibiców roześmiani kojot, zajęczyca i niedźwiadek brunatny. Te plakaty wciąż wisiały u Mirki! Mama kupiła też Mirce narty i uczyła ją jeździć. O, to było wspaniałe! Jaka szkoda, że już...

– Mira! Mira!!! – doleciało dziewczynkę nawoływanie babci, która wyszła przed dom. – Zimno jest! Nie stój tak, bo zmarzniesz! Chodź! Szybciutko!

Teraz o jeżdżeniu na nartach może zapomnieć. Po pierwsze, byłoby jej trudno z tą nogą, a po drugie, babcia nigdy się na to nie zgodzi. Przenigdy! Mira westchnęła, opuściła głowę i utykając, ruszyła do domu.

Śnieg padał i padał. Robiło się też coraz zimniej. Widoczne z okna Mirkowego pokoju wzgórze okryła gruba kołdra śnieżnego puchu, a mróz wymalował wokół szyb kwietną koronkę. Dziewczynka odrobiła lekcje, zjadła z babcią kolację, a potem długo patrzyła na zaśnieżony krajobraz, bo rozpogodziło się i na niebie zabłysnął księżyc. Wreszcie zasnęła.

Wybiła dwunasta. Promień księżyca, odbity od śniegu, wpadł do pokoju i miękko oświetlił wiszące nad śpiącą dziewczynką plakat. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Nagle biały tygrys Sohoorang zamrugał, ziewnął, a potem przeciągnął się tak, aż coś strzeliło mu w kręgosłupie.

– Pierwszy śnieg! – mruknął. – No, najwyższa pora!

Po czym zeskoczył z plakatu na kołdrę Mirki, dał zręcznego susa na jej krzesło przy biurku i wspiał się na parapet.

– Ładnie, ale za dużo drzew – mruknął. – Warunki do jazdy średnie.

– Co tam mamrociesz? – zawołał ktoś za nim.

Soohorang obejrzał się i popatrzył na drugi plakat akurat w chwili, gdy wyłaził z niego niedźwiadek brunatny Coal.

– Pozwól, moja droga... – Podał muskularną łapę zajęczycy.

– Phi! – prychnęła Powder, po czym przeskoczyła nad jego głową, długim susem poszybowała z plakatu wprost na podłogę i z gracją wylądowała na dywaniku. – Niby dlaczego miałbyś mi pomagać? Bo jestem dziewczyną, tak?

– Ależ nie, skąd! – Coal zmieszał się i z miną winowajcy podrapał się po łbie. – Wcale nie miałem tego na myśli...

– Ona cię podpuszcza. Nie daj się – pouczył go kojot Copper, a Powder się roześmiała.

– Co mówiłeś? – zwróciła się do białego tygrysa.



– Że tu ładnie, ale warunki do jazdy średnie – odparł Soohorang, znów wyglądając przez okno.

Powder odbiła się od podłogi i wskoczyła na parapet.

– O, puch! Uwielbiam! – zachwyciła się, a potem wskazała swoje mocne, szerokie tylne łapy i powiedziała: – One są lepsze od rakiet śnieżnych. Najgłębszy śnieg mi niestraszny!

– Nie o tym mówię... – odezwał się Soohorang, ale kojot Copper nie pozwolił mu dokończyć.

– Świetnie, świetnie! – zawołał, wdrapując się na parapet i przyklejając do szyby swój wilgotny nos. – Mróz jest! Można zrobić lodowisko!

– Uwielbiam łyżwy – stwierdziła Powder.

– Ja myślałem raczej o curlingu – bąknął Copper.

– Do curlingu potrzebne jest idealnie płaskie lodowisko – rzucił biały tygrys. – Tutaj są same wzgórza.

Niedźwiedź Coal, posapując, wdrapywał się na biurko.

– Może to tobie przydałaby się pomocna dłoń? – zakpiła Powder.

– Obejdzie się! – prychnął oburzony Coal i usiadł wreszcie na blacie, a potem stanął na tylnych łapach i podszedł do okna. – Hm... Ładnie, ale rzeczywiście lodowiska nie da się urządzić. Ani do curlingu, ani do hokeja. A ja kocham hokej. Wiecie...

– Wiemy. – Powder skinęła łebkiem, a potem westchnęła: – Zjadłabym rożek lodów waniliowych...

– Mam trochę frytek. Chcesz? – Coal podał jej nieco wymiętą papierową torebkę.

– Nie jedz tego! – upomniał Powder Copper i podał zajączkowi garść żelków. – Proszę!

– Jedzenie w środku nocy jest niezdrowe – oświadczył Soohorang.

– Życie jest niezdrowe – filozoficznie oznajmił Coal, wrzucił garść frytek do pyska i żując je z błogim uśmiechem, wskazał leżący za drogą staw. – O! Tam można by urządzić lodowisko.

– Co najwyżej ślizgawkę – prychnęła pogardliwie Powder. – Mało miejsca na lutza, a już na pewno nie wystarczy na porządnego axla.

– Tak, ale jej nie marzy się ani hokej, ani curling, a już na pewno nie jazda figurowa na łyżwach. – Biały tygrys odwrócił się plecami do okna i popatrzył na śpiącą Mirkę.

– Ona śni o nartach... – szepnęła Powder i długie, spiczaste uszy miękko opadły jej na ramiona.

– Małe szanse – mruknął Copper. – To tchórz.

– Tchórz?! – oburzył się Coal. – Na pewno nie! Po prostu...

– Po prostu co? – zapytała Powder.

– Po prostu potrzebuje trochę wiary w siebie – odezwał się Soohorang. – Choć w jej przypadku jazda na nartach niesie ze sobą pewne niebezpieczeństwo.

– Jazda na nartach zawsze jest trochę niebezpieczna – stwierdził Copper. – Dlatego jest taka fajna!

– Ale Mirka nie jest do końca sprawna...

– Co z tego?! Po prostu musi nad sobą pracować! Pamiętacie Raya Ewry'ego? Przeszedł polio jako dziecko i wszyscy byli pewni, że do końca życia będzie jeździł na wózku inwalidzkim. A on?! On został jednym z największych sportowców! – zaperzyła się Powder.

– Tak – przytaknął Coal. – Zdobył osiem złotych medali na igrzyskach olimpijskich w skokach w dal z miejsca!

– Nie poddawał się i za wszelką cenę dążył do tego, żeby być coraz lepszym.



Jestem pewny, że ona też ma to w sobie. Tak samo jak jej mama – powiedział Soohorang, przechodząc z parapetu na biurko i siadając na brzegu blatu.

Powder, Copper i Coal podeszli do niego, a potem usiedli obok.

– Po tym wypadku nie da rady jeździć na nartach. Choćby nie wiem ile pracowała – westchnął Coal.

– Może nie musi jeździć na nartach – mruknął Soohorang i zamyślił się przez chwilę.

– Bobsleje? – zapytał Copper.

– Niekoniecznie... – Soohorang uśmiechnął się szeroko, szczerząc swoje ostre, śnieżnobiałe zęby.

– Oj... – Powder przezornie odsunęła się nieco.

– Daj spokój! – Biały tygrys machnął łapą. – Nic ci przy mnie nie grozi. Zresztą jesteś szybsza ode mnie.

– Jestem szybsza od wszystkich! – z dumą oświadczyła Powder.

– O czym więc myślisz? – zapytał Coal. – Odpada biathlon, narty, łyżwy... Skeleton?

– Chyba jej nie zainteresuje – odezwał się z powątpiewaniem w głosie Copper. – Może saneczkarstwo?

– Nie.

Biały tygrys miękko zeskoczył z blatu biurka i podszedł do łóżka Mirki. Wskoczył na jej poduszkę, nachylił się do ucha dziewczynki i zaczął szeptać.

– Ciekawe, co wymyślił... – zastanawiała się Powder.

– Powinniśmy wracać – powiedział Coal.

– Nie chcę znowu siedzieć w plakacie! – skrzywił się Copper.

– Przecież tak naprawdę nas w nim nie ma – zaśmiała się Powder. – Ty kradniesz ogień z wulkanu, by zanieść go marznącym ludziom. Ja strzelam z łuku do słońca, aby zranione osunęło się z zenitu i dało odetchnąć rozpalonej ziemi, a Coal...

– A ja wciąż uciekam po nocnym niebie przed goniącymi mnie gwiazdnymi myśliwymi – zaśmiał się Coal. – Takie są nasze legendy. A jaka jest jego?



Wskazał białego tygrysa, który wciąż szeptał coś do ucha śpiącej Mirki.

– On jest tym, który przemierza śnieżne pola. Tym, który czuwa nad górami i przyrodą. Tym, który strzeże bezbronnych...

– I śniących. – Copper wpadł w słowo Coalowi, a potem wszedł z powrotem na biurko i ruszył do wiszącego na ścianie plakatu.

* * *

– Zostaw ten telefon! – upomniała Mirkę babcia, gdy następnego dnia jadły śniadanie. – Jedz!

– Przecież jem. – Mirka wzruszyła ramionami i wpakowała do ust kolejną porcję jajecznicy z pomidorami.

O, jajecznica z pomidorami wychodziła babci wprost boska – to trzeba było przyznać. Kliknęła w link, który podsunęła jej wyszukiwarka.

– Błysko... – wybełkotała z buzią pełną jajecznicy.

– Nie mów, gdy jesz – upomniała ją babcia. – Co jest blisko?



Skupienie na dążeniu do doskonałości nie oznacza bycia idealnym w 100%. To droga, podczas której młodzi ludzie dokonują wyborów, aby być lepszą wersją samych siebie zarówno na boisku, jak i w codziennym życiu.



– Weremień. – Mira przełknęła jajecznicę. – Dwa kilometry od nas. Na piechotę przez las.

– Przez las! Na piechotę! – przeraziła się babcia. – To niebezpieczne!

– Życie jest niebezpieczne – stwierdziła filozoficznie Mirka i odłożyła telefon.

– A co jest w tym Weremieniu? – zapytała babcia po chwili pełnego urazu milczenia.

– Szkoła snowboardu – wyjaśniła Mira. – Mam zamiar zostać snowboardzistką.

– Snow... Snowboardzistką?! – wykrzyknęła babcia. – Wykluczone! To na pewno niebezpieczne! I na pewno nie dla ciebie!

– Dlaczego nie? – zapytała spokojnie Mira.

– Przecież nie masz o tym pojęcia!

– Nauczę się. Będę trenowała i stawiała się coraz lepsza. Lepsza z każdym dniem – powiedziała Mira tak pewnym siebie tonem, że do babci natychmiast dotarło, iż protesty i zakazy na nic się zdadzą.

– Ojej... – jęknęła z przerażeniem.

– Nie bój się – uśmiechnęła się do babci Mira. – Będiesz ze mnie dumna. Zobaczysz.



Sowy



Maskotki igrzysk olimpijskich w Nagano (1998) Sukki, Nokki, Lekki i Tsukki to cztery śnieżne sowy. Reprezentują one odpowiednio: ogień, powietrze, ziemię i wodę. Cztery maskotki to symbol czterech lat, które składają się na olimpiadę.



Maskotki igrzysk olimpijskich w Sydney (2000). Dziobak Syd symbolizuje wodę, kukabura (Ollie) reprezentuje powietrze, a kolczatka (Millie) ma kłozę z ziemią; jej nazwa to nawiązanie do nowego tysiąclecia (millennium).

Millie



Syd



Ollie

Katarzyna Ryrych



Droga do lasu

- I na dodatek on zna Justynę Kowalczyk-Tekieli – szepnęła Monika.
- Gdyby nie to, że znałyśmy się z Moniką od dziecka, zapytałabym, czy mówi serio.
- Ale Monika nigdy mnie nie okłamała.
- Wiesz, mieszka w Kasince – ciągnęła – i czasami spotykają się na szlaku.
- Od kiedy przyjechałam do kuzynki, opowiadała tylko o chłopaku swojej siostry.
- Tymek to, Tymek tamto. A ja umierałam z ciekawości i chciałam wreszcie zobaczyć go na własne oczy. Wiedziałam o nim tylko tyle, że trenuje biegi na orientację, co mnie



wcale nie dziwiło – jeśli ktoś mieszka w takim miejscu... I musi być w tym naprawdę dobry, bo zdobył już wiele medali.

– Będzie u nas dzisiaj – zakończyła Monika. – Dlatego Anka robi szarlotkę.

Rzeczywiście, z kuchni dochodził zapach ciasta, który mieszał się z wpadającym przez okno zapachem lasu.

Zawsze zazdrościłam Monice, że mieszka w takim pięknym miejscu – dom stał dokładnie tam, gdzie zaczynał się szlak na górę zwaną Szczebłem, na pagórku zwanym Kocią Górką.

– Dlaczego tak się nazywa? – zapytałam kiedyś wuja.

– Szczebel czy Kocia Górka? – zażartował, bo nie wyraziłam się dostatecznie jasno.

I nie czekając na moje wyjaśnienia, powiedział, że Szczebel ma kilka poziomów, jak drabina, a Kocia Górka jest tak mała, że wejść może na nią nawet niewielki kociak.

Dom rodziców Moniki i Anki był niewielki, otoczony drzewami, a z tyłu znajdowały się grządki, na których rosła marchewka,

pietruszka, cebula i to wszystko, co może być potrzebne do obiadu. To był pomysł ciotki – żeby nie gonić po wszystko do sklepu. No i, jak powtarzała, człowiek wie, co ma na talerzu. Największym pomieszczeniem w domu była kuchnia,

z prawdziwym piecem, obok którego lubiłam siadać w chłodniejsze dni.



Kiedy skończyłam dwanaście lat, moi rodzice uznali, że jestem na tyle duża, by – jeśli zechcę – jechać sama na weekend do wuja.

Odprowadzali mnie na dworzec, na busa, a wuj albo ciotka wychodzili po mnie na przystanek, abym nie szła samopas przez las. I za każdym razem była to dla mnie wspaniała przygoda.

Po drodze wuj opowiadał o wszystkich stworzeniach, jakie zamieszkują las. Pewnego dnia zobaczyłam niewielką sowę siedzącą na mchu. Na początku myślałam, że to mały, puszysty kotek, który zgubił się w lesie, ale stworzonko miało ostry dziób i niezdarnie wymachiwało skrzydłami.

– Ojej – krzyknęłam. – Sowa! Zabierzmy ją do domu!

– A to dlaczego? – zdziwił się wuj.

– Nie widzisz – zawołałam z wyrzutem – że to biedactwo wypadło z gniazda? Mówiłeś, że tu są lisy i...

– To biedactwo – uśmiechnął się wuj – to gałęziak. Nie potrzebuje niczyjej pomocy.

– Gałęziak? To sowa!

– Tak nazywają się pisklęta, które w dzień opuszczają gniazda, żeby ukryć się na ziemi – wyjaśnił. – Nie umieją latać, więc schodzą, czepiając się pazurami gałęzi i kory.

– Bo niewygodnie im w gnieździe? – palnęłam.

– Ależ skąd. – Wuj położył mi rękę na ramieniu. – Po prostu tam są łatwym łupem dla srok, sójek, a nawet jastrzębi. Nie bój się, ten maluch sobie poradzi – dodał, widząc, że oglądam się za siebie. – Gdybyś ją zabrała, zrobiłabyś jej krzywdę.

Zanim doszliśmy do domu, wiedziałam prawie wszystko o sowach – że w lesie żyją także mikrosowy, zwane sóweczkami, i ogromne puchacze, a czasami pojawiają się sowy śnieżne.

– Zobaczyć taką to rzadkość, bo pojawiają się głównie na północy. Ale teraz, jak widzisz, klimat wariuje, więc ptaki czasami tracą orientację...

– Ta sowa jest biała, tak? – zapytałam mądrze.

– Nie do końca. Na skrzydłach ma trochę brązowych plamek. Ale jest tak śliczna, że zainspirowała twórców maskotek igrzysk olimpijskich w Nagano. Były cztery jak cztery japońskie wyspy i symbolizowały związek z naturą.

„Maskotki” – pomyślałam. Dorośli czasami zachowują się trochę jak dzieci. Jednak kiedy sprawdziłam to w internecie, doszłam do wniosku, że nie miałabym nic przeciwko temu, aby postawić coś takiego na półce, choć nie do końca przypominały sowy, tylko stworki z japońskiej kreskówki.

Za każdym razem wracałam do domu bogatsza o różne ciekawostki, zatem nic dziwnego, że każdy wyjazd na wieś był dla mnie wspaniałą przygodą. A teraz miałam poznać kogoś, kto zna naprawdę sławną osobę! Nie z gazet, nie z internetu ani z telewizji, ale osobiście, tak jak ja znałam sąsiadów w moim bloku czy kierowcę busa, którym jeździłam na wieś.

Z tego powodu byłam tak rozkojarzona, że wszystko leciało mi z rąk.

– Może będzie lepiej – powiedziała Anka – jak pójdziecie do szopy i przygotujecie grabie, rękawice i worki.

– A po co? – zapytałam.

Anka roześmiała się.

– No, prawda, nie mieszkasz tutaj przez cały rok... Za kilka dni mamy długi weekend. Trzeba przygotować las.

– Przygotować las?

– Monika, pokaż jej, o co chodzi. Sorry, nie mam teraz czasu.

„No tak – pomyślałam. – Skoro przyjeżdża jej chłopak, musi zająć się sobą, zrobić makijaż, założyć na siebie coś wystrzałowego...” I pobiegłam za Moniką do ogrodu.

– Co roku – wyjaśniła moja kuzynka – sprzątam las. Niestety. Nie masz pojęcia, ile świństwa zostawiają na szlaku ludzie...

– To nie lepiej posprzątać po weekendzie? – zapytałam. – Po co dokładać sobie roboty?

– Właśnie zawsze robiliśmy to po weekendzie – odparła Monika. – Ale Tymek chce zrobić eksperyment.

Rzuciła mi parę gumowych butów i ogrodowe rękawice.

– Przy wejściu na szlak chcemy powiesić plakat. O, tam leży tuba.



Kartonowa tuba zawierała kilkanaście plakatów.

ZOSTAW TO MIEJSCE TAKIM, JAKIM JE ZASTAŁEŚ

– głośiły duże, kolorowe litery, a pod nimi widniał rysunek przedstawiający smutną sowę, siedzącą na górze plastikowych butelek, styropianowych pudełek i... kartonów po pizzy.

– Tymek poprosił właściciela pizzerii, aby umieścić tę grafikę na pudełkach – powiedziała Monika.



Owiany legendą Tymek pojawił się punktualnie o dziesiątej. Towarzyszył mu duży pies o srebrno-szarej sierści i przedziwnych niebieskich oczach.

– To jest Tarak – wyjaśniła Monika.

– Słodki – zachwyciłam się psem, który koniecznie chciał mnie polizać po twarzy.

– To jeszcze szczeniak – uśmiechnął się Tymek. – Mam nadzieję, że w końcu zmądrzeje.

Kiedy siedzieliśmy w kuchni, pochłaniając ciepłą jeszcze szarlotkę, ukradkiem przyjrzałam się Tymkowi. Jak na kogoś, kto zdobywał medale, wyglądał bardzo zwyczajnie. Miał na sobie stary dres i znoszone adidasy. Anka też nie wyglądała szczególnie wyjściowo...

W tym momencie przypominałam sobie, że za chwilę ruszamy sprzątać las. To tłumaczyło wszystko.

– Zaraz dołączą do nas moi uczniowie – powiedziała Anka, która pracowała w szkole jako nauczycielka wuefu.

„Gdybyśmy mieli kogoś takiego u nas – myślałam, idąc z grabiami na ramieniu i paczką worków w drugiej ręce – nikomu nie przysłoby do głowy, żeby załatwiać sobie zwolnienia...” Bo Anka razem z drugim nauczycielem postarała się, aby w szkole była niewielka siłownia, a dla dziewczyn prowadziła pilates i fitness, i to nie tylko w czasie lekcji.

– Mamy sportowe piątki – powiedziała. – Kto chce, może zapisywać się na wieczorne zajęcia. I naprawdę lista jest zawsze pełna, a jak komuś nagle coś wypadnie, to może odstąpić komuś swoje miejsce.

„Wcale się nie dziwię” – pomyślałam. A kiedy Tymek dorzucił swoje trzy grosze, mówiąc, że Anka współpracuje z dietetykami i specjalistami od zdrowej żywności, po prostu nie mogło mi się pomieścić w głowie, że to wszystko dzieje się na wsi. Normalnie na wsi. Pięćdziesiąt kilometrów od wielkiego miasta.

Uczniowie Anki – było ich chyba ze trzydziestu – czekali pod niewielkim ośrodkiem sportowym, znajdującym się na początku szlaku.

– Dzielimy się na grupy – oświadczył Tymek. – Połowa idzie ze mną, a połowa z panią Anią.

„Pani Ania” – trochę mnie to rozbawiło, bo Anka zawsze była dla mnie Anką, ale oczywiście trudno, żeby uczniowie zwracali się do swojej nauczycielki (choćby nie wiem jak odlotowej) po imieniu.

Razem z Moniką przyłączyliśmy się do grupy Tymka.

– Słuchajcie – zaproponował. – Mam w plecaku nagrodę dla kogoś, kto znajdzie najbardziej szokujący śmieć. Warto powalczyć.

„Ciekawe, co by to mogło być” – pomyślałam i spojrzałam porozumiewawczo na Monikę. Odpowiedziała mi mrugnięciem. Jednak wszystko, co znajdowałyśmy, było całkiem zwyczajne i zwyczajnie pozostawiane w trawie albo rzucone w krzaki.

Dokoła nas krążył niebieskooki szczeniak, zachęcając do zabawy.

W lesie było ponad trzydzieści osób, jednak nikt nie wydierał się, nie hałasował – zupełnie jakby nikogo nie było. No, może od czasu do czasu rozlegał się jakiś okrzyk





Zwalczanie
marnotrawienia żywności,
korzystanie z odnawialnych
źródeł energii i istniejącej
infrastruktury sportowej
(zamiast budowania nowych
obiektów) oraz wybór bardziej
ekologicznych form
transportu to wybrane
metody, jakie organizatorzy
igrzysk olimpijskich mogą
zastosować dla dobra
naszej planety.

albo prośba, aby ktoś przybiegł z workiem. Przez cały czas słychać było ptaki i wiatr w koronach drzew.

Pełne worki zostawialiśmy na ścieżce, skąd miał zabrać je niewielki traktor z przyczepą. Niestety, było ich coraz więcej.

– Tak jakby to był problem wrzucić do plecaka pustą reklamówkę – zdenerwował się jakiś chłopak. – Bo po co? Przecież ktoś przyjdzie i posprząta.

– Nikt cię tu nie ciągnął na siłę – powiedziała mała, pulchna dziewczyna.

– No nie, coś ty, ja nie dlatego... tylko że to jest wkurzające, tak?

Gdyby nie nasze porządki, to las wyglądałby jak jeden wielki śmietnik. Bo przyjeżdża kolo z miasta na wycieczkę.

Nie wiedzieć czemu poczułam się dotknięta.

– Nie wszyscy z miasta są tacy – mruknęłam na tyle głośno, aby usłyszał.

– A pamiętasz, jak Urbański znad potoku wyrzucił nad rzeką opony? – przypomniała mu Monika.

– A, pewnie – ożywił się chłopak. – I jak żeśmy mu to wszystko w nocy zaturlali na podwórko...

– My robimy taką akcję dwa razy do roku – powiedziałam. – Wiosną, na Dzień Ziemi, no i potem jesienią...

– Dzień Ziemi powinien być codziennie – odezwał się Tymek. – Ona zdecydowanie poradzi sobie bez nas, my bez niej – raczej nie.

– Niestety – westchnęła Monika.

Spotkaliśmy się wszyscy na łące, gdzie Anka zaplanowała odpoczynek.

– Tylko pozabierajcie swoje śmieci – zażartował Tymek – bo za nami nie idzie druga ekipa.

Śmieci. No właśnie – jak dotąd nikt nie natrafił na coś niezwykłego. Mogliśmy tylko porównywać wielkość butelek po coli i to wszystko.

– No to idziemy dalej – powiedziała Anka.

Ilość śmieci wcale się nie zmniejszała. Zupełnie jakby turyści zabierali ze sobą zapasy na tygodniową wędrówkę po szlaku. Mało tego, trafiliśmy na kilka butelek, które nie wiadomo dlaczego zostały rozbite, a szkło leżało na ścieżce tuż pod naszymi nogami.

– I to jest paskudne – zdenerwował się Tymek. – Jeszcze wczoraj trenowałem na tej trasie... Wielu ludzi przyjeżdża tutaj, żeby pobiegać... oni raczej nie śmiecą, bo cenią sobie przebywanie w takim miejscu. Ale ci pseudoturyści...

Spojrzałam na Taraka, który, niezmordowany, biegał po łące z plastikową butelką w pysku.

– Ciekawe – westchnęła pulchna dziewczyna – kiedy znowu naśmiecą.

– Może to, co robimy teraz, trochę pomoże – uśmiechnął się Tymek. – Pamiętam, kiedy byłem w podstawówce, nasza dyrektorka wymyśliła, że powiesi w oknach na korytarzu firanki i poustawia kwiatki. Wszyscy rodzice mówili, że to nie ma sensu, ale dyrektorka się uparła i powiedziała, że jeżeli dokoła będzie ładnie i estetycznie, to nikt tego nie zepsuje... czy jakoś tak. Postawiła na swoim. I jak się wam wydaje, co było dalej?

– Niech zgadnę. Pozrywali firanki – powiedział ktoś – a doniczki się same porozbijały.

– A właśnie że nie. Dyrektorka miała rację. I dlatego przyszło mi do głowy, że jeśli ludzie wejdą na czysty, wysprzątny szlak... i od czasu do czasu zobaczą nasz plakat... może to coś zmieni. Trzeba coś robić, nie?

„A mógłby – pomyślałam – siedzieć i gadać z Anką albo wybrać się do miasteczka, tego o dziesięć kilometrów stąd”.

– Ludzie robią różne rzeczy, żeby zainteresować innych naturą. Na przykład podczas igrzysk olimpijskich w Sydney – uśmiechnął się Tymek – na maskotki wybrano przedstawicieli trzech gatunków chronionych zwierząt. Matthew Hatton, który je zaprojektował, nadał im imiona. Był więc dziobak Syd, kolczatka Millie i kukabura Olly. Ktoś zgadnie dlaczego?

– Syd to chyba od Sydney – powiedziała pulchna dziewczyna.





– Olly pewnie od olimpiady lub olimpijczyka? – zastanawiał się chudy chłopak. – Ale skąd Millie, to nie mam pojęcia.

– Od millennium – wyjaśniła Anka. – Nowe tysiąclecie, nowe aktywności, nowe pomysły...

Poprawiła przewracający się worek pełen plastikowych butelek.

– Ciekawe, czy w swoich domach robią podobnie – odezwał się chłopak, na którego jeszcze nie tak dawno byłam zła.

– Zapewne nie. Bo ich dom jest ich domem, a las... Las należy do

wszystkich, czyli jest jakby niczyj. A jeśli coś nie ma właściciela... – Przerwało jej popiskiwanie psa.

Tarak najwyraźniej coś zwęszył, bo stał z postawionymi uszami i wyprężonym ogonem. A potem ruszył przed siebie jak burza.

Zerwałam się do biegu. Pies kluczył między drzewami, a ja starałam się nie stracić go z oczu.

– Tarak! Stój – wołał gdzieś za nami Tymek, jednak pies nie miał zamiaru się zatrzymać.

Ja zaś biłam swój własny rekord, ale nawet jako najlepsza w klasie na sto metrów nie byłam w stanie dogonić przyszłego zwycięzcy psich zaprzęgów...

Tarak zatrzymał się tak gwałtownie, że rozpędzona wpadłam na niego na skraju niewielkiego brzoźowego zagajnika.

Pod jednym z drzew stało niewielkie pudełko i nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby się nie ruszało, zupełnie jakby coś, co znajdowało się w środku, chciało wyjść spod oklejonej taśmą przykrywk.



– Zaczekaj – zawołał Tymek, ale zdążyłam już zerwać taśmę i...

Psiak był naprawdę malutki. Tak mały, że zmieścił się w pudełku po sportowych butach, a teraz spoglądał na mnie błękitnymi oczami.

Tarak podskakiwał, starając się obwąchać znalezisko.

– Co za świństwo – skomentowała Anka, kiedy wróciliśmy na łąkę. – Gdybyśmy go nie znaleźli... nie miałby szans.

Poczułam, jak coś drapie mnie w gardle.

– Chyba nic mu nie dolega – powiedział Tymek. – Oprócz braku domu.

„Gdybyśmy nie mieszkali w bloku...” – mówiła zawsze mama, kiedy wspominałam o psie.

– Nie będzie duży – uśmiechnęła się Anka i spojrzała na mnie tak, jakby wiedziała, o czym myślę. – Na razie zostanie u mnie.

– Nawet się nie pofatygował, żeby wyjąć paragon – mruknął rudowłosy chłopak, którego uszy przypominały trochę uszy elfa. – O, a stare buty...

Wskazał Taraka, który wypadł z krzaków, niosąc w pysku but. Pies przypadał do ziemi, zachęcając wszystkich do zabawy. Nie miał zamiaru oddać znaleziska swojemu opiekunowi.

– Całkiem niezłe buty – stwierdził Tymek. – Posłużyłyby jeszcze sezon. Mogli wrzucić je do kontenera PCK albo choćby postawić na przystanku...

Że też komuś chciało się targać pudełko do lasu, żeby zostawić w nim szczeniaka... który, gdyby nie my, nie dożyłby następnego dnia.

– Bycie mieszkańcem Ziemi – powiedziała Anka – to coś więcej niż oglądanie telewizji, siedzenie przed



komputerem czy nawet czytanie książek. To brzmi banalnie, wiem. Ale należy zwracać uwagę na to, co się dzieje wokół nas. Czy naprawdę potrzebujemy nowych adidasów, kiedy te stare...

– Wiem! – przerwał jej rudowłosy chłopak. – Będzie mieć na imię Adi. Od tego pudełka. Spojrzałam na psiaka, który zdążył już zasnąć. Jego małe serce biło równo i mocno. – To ty... – Tymek sięgnął do plecaka – znalazłaś coś zaskakującego. Tego malucha wyrzucono... jak pustą butelkę czy opakowanie po kanapkach... Zatem... nagroda wędruje do... tak, do ciebie, Moniko.

Patrzyłam na małą, kolorową maskotkę, która przypominała stworka z japońskiej kreskówki, i nie mogłam uwierzyć własnym oczom.

– Sówka Nokki, którą dostałam od swojego rywala w zeszłym roku w Szwecji. On też ją od kogoś dostał. A ty musisz mi obiecać, że...

– Obiecuję – wyrwało mi się, zanim skończył. – Że pobędzie u ciebie jakiś czas, tak jak u mnie, a potem... dasz jej polecieć do kogoś szczególnego. Kogo sama wybierzesz.

– Tak, tak. – Pokiwałam głową.
– Ja też złożyłem taką obietnicę – uśmiechnął się Tymek.
– W poniedziałek – powiedział rudowłosy chłopak – pojadę do tego sklepu...
– A co ci to da? – wtrąciła pulchna dziewczyna.
– Satysfakcję. Choć pewnie winny nie zostanie ukarany. Ale przynajmniej ktoś się dowie.
– Jeśli płacili kartą...
– Coś ty, to są dane wrażliwe.

Wracaliśmy do wsi, przyklejając na drzewach plakaty, zabezpieczone foliowymi koszulkami.

– Odprowadzę was – zaproponował rudowłosy.
Was, powiedział, ale czułam, że ma na myśli mnie, i zrobiło mi się bardzo miło.
Szlismy przez łąkę, na której nie było niczego, co pozostawił człowiek. A po drugiej stronie, ścieżką prowadzącą pod lasem, biegła młoda kobieta.
– Cześć, Tymon! – zawołała, zwalniając na chwilę.



– Cześć, Justyna – odwrzknął. – Zobacz, jak posprzątaaliśmy dla ciebie las!
– Kawał dobrej roboty. Od razu lepiej się oddycha. Dziękuję!
Nie mogłam się nadziwić, że można w ten sposób rozmawiać z kimś tak znanym. I że ktoś taki znany rozmawia z nami w ten sposób.

„Ale – pomyślałam później – chyba to na tym polega. Że człowiek jest tak jak las i woda, i sport... dla wszystkich”.

Anka i Tymek szli, trzymając się za ręce, a za nimi biegł Tarak z butem w pysku. Kiedy wyszliśmy z lasu, minął nas niewielki traktor. „Załaduje całą przyczepkę – pomyślałam. – A może nawet będzie musiał przyjechać po raz drugi”.

Wróciliśmy na Kocią Górkę w chwili, kiedy wuj skończył gotować swój słynny bigos.
– I jak tam? – zapytał, gdy usiedliśmy do stołu.
– Tak – powiedziałam, pokazując mu szczeniaka. – Gdybyś tak porozmawiał z moimi rodzicami...

– Porozmawiam – obiecał.
Anka wyjęła z lodówki kawałek kurczaka i pokroiła mięso na drobniutkie kawałki. Psiak natychmiast zabrał się do jedzenia.

Szarpał mięso drobnymi, ostrymi ząbkami, warcząc przy tym jak dorosły pies.

- Myśmy długo nie wiedzieli, co pan robi – powiedział Kazik, spoglądając na Tymka.
- Bo na znanego sportowca to... – Urwał i zaczerwienił się.
- Nie wyglądam, tak? – roześmiał się Tymek.

Kazik pokiwał głową.

- Jak mi powiedzieli, że pan jeździ na te zawody... przywozi medale...
- Naprawdę uważasz, że firmowy dres, drogie buty i inne bajery sprawią, że ktoś będzie dobry w tym, co robi?
- Teraz to już nie – powiedział Kazik.
- To jest, bracie, tylko opakowanie. A ważne jest to, co w środku. Owszem, na zawody zakładałam coś innego, bo nie byłbym w stanie wszystkim tego wytłumaczyć. Ale wiesz, na co dzień, na trening... gonienie po lesie... Wolę wydać te pieniądze na coś zupełnie innego. Czasami ktoś potrzebuje sprzętu do rehabilitacji... Albo po prostu butów do biegania.

Siedzieliśmy w kuchni jeszcze długo, dopóki słońce nie zaczęło zachodzić.

- To ja lecę – powiedział Kazik. – Możemy jutro sprawdzić, czy ten plan działa, co?
- No pewnie – zawołałam.

Wieczorem długo nie mogłam zasnąć. Myślałam o tym, że świat jest naprawdę piękny i że nawet na takiej małej łące mogą dziać się wielkie, niezwykłe rzeczy. Że gdybyśmy wszyscy razem zabrali się do roboty, lasy i rzeki byłyby czyste... a na powierzchni oceanów nie pływałyby całe wyspy śmieci...

Za oknem szumiał las, gdzieś w jego głębi pohukiwała sowa. A obok łóżka, w koszyku wyścielonym miękkim ręcznikiem, spał szczeniak, syty i bezpieczny.





Piktogramy XVII Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Lillehammer 1994.



Haakon i Kristin – maskotki z XVII Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Lillehammer (1994) nawiązują do postaci historycznych z XVII wieku, których losy są ściśle związane z Norwegią.

YOUTH OLYMPIC GAMES



Jaguar #Pandi – maskotka III Młodzieżowych Igrzysk Olimpijskich Buenos Aires 2018. Po raz pierwszy w historii wystąpiło tam tyle samo zawodniczek, co zawodników.



Głowy i Głidy – uczestników XV Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Calgary (1988) witało rodzeństwo dwóch misiów polarnych – dziewczynka „Głidy” i chłopiec „Głowy”. Miały wywołać u olimpijczyków odwagę, odporność na trud i wolę zwycięstwa.



Anna Onichimowska

Wielka ucieczka

„Nareszcie coś się dzieje” – pomyślała Hidy, szturchając swojego brata. Howdy wciąż jeszcze wyglądał na zaspanego.

– Ojej... – pisnął, kiedy czyjeś ręce uniosły go i wraz z siostrą umieściły w pudełku.

Po chwili wylądowali obok nich Haakon i Kristin oraz Pandi. A potem wieko się zamknęło, zaległa ciemność i poculi dziwne bujanie.

– Chyba dokądś nas przewożą... – szepnął Haakon.

– Bardzo dobrze! Już mi się znudziło w tym magazynie! – oświadczyła Kristin.

Razem z innymi maskotkami olimpijskimi spędziły tu kawał czasu. Czasem ktoś z pracowników wybierał którąś i dokądś wysyłał. Teraz przyszła kolej na nich.

– Wylądujemy pewnie u jakiegoś kolekcjonera – narzekała Kristin.

– Lepsze to niż sklep – dodał Haakon.

– Zwiejemy! – wymyślił Pandi.

Dotąd siedziały zamknięte na klucz. Najdłużej niedźwiadki polarne: Hidy i Howdy. Aż od igrzysk olimpijskich w 1988 roku w Calgary! Norweskie dzieciaki Haakon i Kristin, od 1994. „W Lillehammer wszyscy nas podziwiali, a teraz poszliśmy w odstawkę” – myślały czasem smutno.

Dobiegł ich warkot motoru. Jechały nie wiadomo dokąd.

– Najkrócej z nas siedziałeś, a jesteś najbardziej w gorącej wodzie kąpany! – skomentował Haakon.



– Jaguary nie kąpią się w gorącej wodzie. – Pandi podskoczył, walnął głową w dach pudełka i pokornie przysiadł. – A poza tym od dwa tysiące osiemnastego roku minęło już parę latek. Buenos Aires, Trzecie Letnie Młodzieżowe Igrzyska Olimpijskie... – Pograżył się w marzeniach.

Zamilkły, każde zatopione w myślach.

Wreszcie samochód się zatrzymał. Ktoś podniósł karton. Haakon wpadł na Pandiego, a Kristin poturlała się w ramiona misia.

– Teraz wasza kolekcja będzie kompletna – usłyszały, gdy pokrywa paczki podniosła się.

Zobaczyły pokój zalany słonecznym światłem, panią w krasiastej koszuli i bliźnięta, chłopca i dziewczynkę.

Małe ręce oswobodziły ich z więzienia, rozległy się piski zachwyty.

Dopiero teraz mogły rozejrzeć się swobodnie po pokoju dzieci. Oprócz piętrowego łóżka stały tu dwa biureczka z krzesłami, uginający się od gier i książek regał oraz półka, na której siedziały maskotki olimpijskie. Wszystkie – oprócz nich!

– Super! – wykrzyknął chłopiec, podrzucając Pandiego.

Po chwili poleciały też w górę niedźwiadki. Tylko norweskie dzieciaki leżały bezpiecznie w ramionach dziewczynki.

„Byle postawili nas obok siebie” – pomyślał Haakon. Zdążyli polubić się przez drogę, a poza tym wciąż błąkał mu się po głowie pomysł Pandi. Wybrać się w świat i przeżyć jakieś przygody, to by było coś!

Na szczęście dzieci nie miały już innych pomysłów i całe towarzystwo wylądowało na końcu szeregu.

– Proszę o przyjemny wyraz twarzy! – zażartował chłopiec, pstrykając zdjęcie całemu towarzystwu.

– Wrzucimy je na Facebooka! – postanowiła jego siostra. – A jutro zabierzemy was do szkoły, żeby się wami pochwalić! – usłyszeli nowo przybyli.

Maskotki widziały przez okno, jak dzieci w ogródku odbijają piłkę. Tu było ciekawiej niż w magazynie, jednak zaczęła powracać myśl o wyprawie.

– Nigdy nie byłem w szkole, a wy? Wiecie, co to jest? – szepnął Howdy.

– Tam można się nauczyć różnych rzeczy – zaczęła Kristin.

– Skakania też? – zaciekał się Pandi.

– Przecież umiesz! – miauknęło z kąta.

Zauważyli wlepione w nich zielone ślepie. Wielki czarny kocur przycupnął, gotowy do skoku.

– A jak nie, to cię nauczę! – Wskoczył na krzesło, a z niego na ich półkę.

– Ojej!!! – pisnął Pandi. – Ja fruвам!

Lot był jednak krótki, zaraz wylądował na podłodze, a w ślad za nim niedźwiadki.

– O mało nie zgubiłam kapelusza... – Hidy przytrzymała kapelusik, podczas gdy Howdy masował łapę.

– Hopla! – Kocur podrzucał maskotki, jakby bawił się piłeczką.

– Zostaw ich! – krzyknął Haakon, ale kot nie zwracał na niego uwagi.

– Ruszamy na ratunek... – szepnęła Kristin, skacząc wprost na koci grzbiet. Po chwili obok niej wylądował Haakon.

Na próżno czarny sierściuch młócił ogonem, próbując ich zrzucić. Waleczne maskotki trzymały się z całej siły.

Tymczasem Pandi wskoczył na biurko i przez otwarte okno zawołał:

– Ratunku!!!

Dzieci zamarły, piłka potoczyła się w krzaki. Po chwili rozległ się tupot nóg i maskotki wpadły jak burza do pokoju. Kocur czmychnął, a Kristin i Haakon zsunęli się z jego grzbietu. Wyczerpani, leżeli nieruchomo, czekając, co się teraz wydarzy.

– Biedaki! Nieźle was potargał na przywitanie! – Dzieci zbierały maskotki z podłogi.

– Do jakiej szkoły chodzicie? – odważył się spytać Howdy.

– Sportowej. Imienia Polskich Olimpijczyków... – wybąkała oszołomiona dziewczynka.

„Stąd ta kolekcja” – pomyślała Kristin, wtrącając rezolutnie:

– Powinniście nam się przedstawić. Wy znacie nasze imiona, a my waszych nie!

– Ja jestem Kasia, a on Mateusz. Mamy dziesięć lat i chodzimy do czwartej klasy – usłyszały.



– Bardzo nam miło. – Hakon i Kristin ukłonili się uroczyście.
Zostali już ponownie usadowieni na swojej półce.
– Nie byłem nigdy w żadnej szkole. – Pandi podskoczył, ściągając na siebie uwagę.
– Uważaj, bo znów spadniesz! – roześmiał się Mateusz. – Będzie ci się podobała!
– Chodzą do niej olimpijczycy? – Oczy niedźwiadka Hidy przypominały dwa spodki.
– Raczej przyszli! – Tym razem roześmiała się Kasia. – Zobaczycie jutro, jak trenujemy!
Zasypiając, nie były już pewne, czy chcą stąd uciec...

* * *

Do szkoły przybyły w plecakach. Najpierw Mateusz chciał wszystkie nowe maskotki schować do swojego, ale Kasia poprosiła:

– Daj mi chociaż dwie...

„Dlaczego od razu się zgadza mieć mniej?” – zdziwiła się Kristin. Kłócili się często z Haakonem w różnych sprawach, ale Haakon nigdy nie uważał, że coś nie należy się siostrze, tylko jemu.



O wyborze maskotek też zdecydował chłopiec. Zabrał Pandiego, Hidy i Haakona.
 „Nikt nas nigdy nie rozdzielał” – pomyślał Haakon. Bez Kristin obok czuł się niepewnie.
 – Do zobaczenia wkrótce... – zdążyła do niego szepnąć, zanim wylądowała w plecaku Kasi.
 – Ciekawe, czy w szkole Mateusz też ma jakieś fory... – pomyślała głośno. Było jej trochę ciasno między książkami i sportową koszulką z numerem na plecach.
 Howdy zachichotał. Wiedział, jak wszystkie maskotki, że dziewczynom nie jest łatwo walczyć o swoje miejsce w sporcie. Na przykład lekkoatletki po raz pierwszy mogły wystartować na igrzyskach olimpijskich dopiero w 1928 roku, czyli prawie trzydzieści lat później od chłopaków! Co prawda, walcząc o swoje, zorganizowały własne zawody, Światowe Igrzyska Kobiet, ale przecież chodziło o to, żeby startować na tej samej imprezie i na tych samych prawach!
 Szkoła była gwarna i tłoczna. Pierwsze lekcje były takie same jak w zwyczajnej szkole, dopiero potem zaczęły się treningi i zawody.



– W czym jesteś najlepszy? – zaniepokoił się Pandi.
 – W bieganiu! Byłem trzeci w dzielnicowych biegach przełajowych. No i w futbolu. Jestem napastnikiem.
 Był już przebrany na trening. W pobliżu podskakiwała Kasia. Wraz z grupą szkolnych sportsmenek rozgrzewała się przed zawodami. Podobnie jak brat miała na sobie koszulkę z numerem na plecach.
 Maskotki siedziały na ławce, mając za sobą plecaki dzieci, i rozglądały się ciekawie.
 – Trzymajcie kciuki, żebym nie wpuściła gola! – rzuciła w ich stronę Kasia i pobiegła bronić bramki.
 Nie minęło dziesięć minut, jak kciuki się przydały. Dziewczynka z końskim ogonem strzeliła tak celnie, że gdyby nie refleks i poświęcenie Kasi, piłka byłaby w bramce.
 W tym samym czasie chłopcy z klas czwartych trenowali lekkoatletykę. Mateusz skakał wzwyż i w dal, biegał też w sztafecie.
 – Dobrze skoczyłem, co? – rzucił w przelocie do maskotek, ale zanim odpowiedziały, już go nie było.
 Piłka znów leciała w kierunku bramki Kasi. Na szczęście dziewczynka podskoczyła, wybijając ją nad siatkę.
 – Brawo!!! – Maskotki cieszyły się tak głośno, że zwróciły na siebie uwagę przechodzącej obok grupki starszych chłopców.
 – O kurczę! Maskotki olimpijskie! – wykrzyknął jeden, podnosząc całe towarzystwo.
 – Można za nie dostać niezłą kasę.
 „Nie podoba mi się to” – pomyślał Haakon, ale zanim zdążył cokolwiek zrobić, znalazł się wraz z resztą przyjaciół w plecaku chłopca.
 – Co robisz?! – zdenerwował się jego kolega.
 – Nic nie widziałeś – usłyszeli.
 Przestraszony Howdy zaczął płakać. W plecaku było bardzo nieprzyjemnie – wśród starych chustek do nosa, gumy do żucia i lepiącego się cukierka.
 – Teraz naprawdę mamy powód do ucieczki! – zatarł łapy Pandi. – Witaj, przygodo!
 – Zwiejmy od razu! – pisnęła Hidy.



Słyszeli, że opuszczają szkołę. Chłopak szedł teraz sam. Raz za razem potrząsał plecakiem, aby sprawdzić, czy maskotki jeszcze tam są. Od czasu do czasu sięgał do kieszeni i ich dotykał. Okropieństwo!

Gdzieś obok trąbiły samochody i rozmawiali ludzie. Maskotki zrobiły piramidę, stając jedno na drugim, ale zanim Pandi zdołał się wychylić, pojazd, do którego wsiadł chłopak, zahamował gwałtownie, a one pospadały na siebie nawzajem.

– Jestem coraz bardziej poobijany – narzekał Haakon, Kristin przytuliła się więc do niego, na pocieszenie.

– Nie martwcie się! Na pewno znajdziemy jakiś sposób, żeby uciec. Musimy tylko trzymać się razem – szepnął Pandi.

– To jasne – przyznały niedźwiadki.

– Ciekawe, czy bliźniaki odkryły już, że nas nie ma... – westchnęła Hidy.

Nagle wszystkie zatęskniły za przyjaznym domem, w którym nie zdążyły się nawet zadomowić. Warto byłoby poznać inne maskotki z półki Kasi i Mateusza!

Poczuły, że ich podróż w plecaku dobiega końca, gdy spocona dłoń wydstała je na zewnątrz. Były w jakiejś rupieciarni. Po chwili wylądowały wciśnięte między pudełko gwoździ a obcęgi, a chłopak bez słowa wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– Nie mamy chwili do stracenia! – krzyknęła Hidy.

– Za to mamy narzędzia! I głowę na karku! – Pandi podskoczył tak wysoko, że wylądował w metalowej misce pełnej różności. – Zbudujemy wehikuł czasu!

– Po co czasu?! – zdenerwował się Howdy. – Ja chcę do Kasi i Mateusza!

– Cofniemy się w czasie, wpadniemy na jakieś igrzyska, a potem wylądujemy u nich w domu! – oświadczył Pandi, łącząc ze sobą różne dziwne przedmioty. – Zamiast wydziwiać, lepiej mi pomóżcie!

– On ma rację! – oświadczyła Kristin, szykując się do skoku. – Widziałam tylko swoje igrzyska, innych nie!

Po chwili wszystkie maskotki pracowały pod nadzorem jaguara. Nie minęło wiele czasu, nim Pandi uznał, że mogą wsiadać. „Coś takiego!” – dziwiły się w duchu, ale żadna

nie śmiała wyrazić na głos swoich wątpliwości. To, co stało przed nimi, nie przypominało pojazdu nawet przy bujnej wyobraźni.

Zająły miejsca na gąbkach, którymi wyłożone było wnętrze, a potem zamknęły oczy. „Zapomnialiśmy uzgodnić cel podróży” – przeleciało Kristin przez główkę, ale było już za późno.

Poczuły ostry mróz. Otaczały je pokryte śniegiem góry. Wysiadły.

– Ale fajnie! – ucieszyły się niedźwiadki polarne, przytrzymując kapelusiki. Nieźle wiało!



„Dobrze, że mamy ciepłe sweterki” – ucieszył się Haakon i naciągnął głębiej czapkę, zapatrzony we flagi łopoczące na wietrze. Olimpijską – z pięcioma przecinającymi się kołami – i drugą, z napisem „Vancouver 2010”.

– Ktoś z was chciał się tu znaleźć? – Powiódł wzrokiem po towarzystwie.

Wszyscy rozglądali się zaciekawieni i szczęśliwi, że udało im się zniknąć z ponurego warsztatu.

– Ja! – przyznała Kristin. – Na tych igrzyskach po raz pierwszy w historii zimowych igrzysk wystartowała zawodniczka z Iranu, Marjan Kalhor. Podczas otwarcia to właśnie ona niosła flagę swojego kraju.

– Po ponad dziesięciu latach z prawami kobiet jest tam gorzej, nie lepiej. Dziś pewnie nie udałoby się jej wystartować... – wtrąciła Hidy.

– Dość gadania, biegniemy! – zarządził Pandi. – Wkrótce zaczyna się slalom gigant pań. Kalhor właśnie startuje!

Zdyszani, zdążyli dosłownie w ostatniej chwili.

– Widzicie to samo, co ja? – Zdumiona Hidy przetarła oczy.

Iranka na kombinezon narciarski miała nałożoną czarną spódnicę!

– Biedna. Niesamowite... – westchnęła Kristin. – Ja bym się nie zgodziła!

– Wtedy władze twojego kraju nie zgodziłyby się, abyś wystartowała. To był warunek – dodał Pandi.

Kobiety szusowały wśród wiwatów publiczności, nie tak licznie zgromadzonej jak na zawodach mężczyzn. „Ale i to dobre” – pomyślała Hidy.

– Polka, Agnieszka Gąsienica-Daniel, wypadła z trasy! – krzyknął Pandi. – Nie ma już szans na dobry wynik!

– Ale dzięki temu Marjan nie dojechała ostatnia! – roześmiały się zgodnie. – Poza tym nie zapominajmy, że Polki zdobyły na tych igrzyskach aż cztery medale! Czyli większość!

Wracając, niemal wpadły na wizerunki maskotek olimpijskich. Tym razem były aż trzy: Quatchi, Miga i Suma. Posmutniały, wspominając kolegów i koleżanki z półki u bliźniaków. Nawet nie zdążyły z nimi porozmawiać! „Opowiemy im, że tu byliśmy” – pomyślały zgodnie, gramoląc się do pojazdu.

Znów zacisnęły powieki. „Ciekawe, gdzie się teraz znajdziemy” – westchnęła w myślach Kristin.

– Tokio dwa tysiące dwadzieścia!!! Igrzyska Trzydziestej Drugiej Olimpiady! – wykrzyknął Pandi, zanim jeszcze otworzyły oczy.

– Tu chciałeś się dostać? – dopytywały zaciekawione. – Dlaczego?

Było ciepło i słonecznie. Czuć było słony powiew znad oceanu. Maskotki wyszły ze swojego wehikułu czasu, który wylądował na dachu stadionu!

– Uważaj... – Howdy przytrzymał siostrzyczkę.

– Bo się sturlasz wprost na bieżnię.

– Ale mamy widok! – zachwycił się Haakon, rozpinając sweterek. – Zobaczcie! Zaraz ruszy sztafeta mieszana cztery razy czterysta!

Po dwie kobiety i dwóch mężczyzn z różnych krajów szykowało się do startu. Każdy z zawodników miał przebiec czterysta metrów i przekazać pałeczkę następnej osobie z drużyny.

– Są też Polacy – zauważył Haakon.

– I Polki – dodała natychmiast Kristin. – To się nazywa równouprawnienie i współpraca. Super! Wielkie brawa dla Natalii Kaczmarek, Justyny Święty-Ersetic, Karola Zalewskiego i Kajetana Duszyńskiego!

Wstrzymały oddech, śledząc bieg zawodników. Ale tempo!

– Wygrali!!!

– Pobili rekord olimpijski!

Teraz już cała piątka wzięła się za ręce i wiwatowała z takim entuzjazmem, że w końcu ktoś z publiczności zwrócił na nich uwagę. Coraz więcej głów odwracało się w ich stronę.

– Pora uciekać! – krzyknęły przestraszone.

Gdy znów znalazły się w pojeździe, popatrzyły na siebie uważnie.

*Sport buduje pewność siebie
i umiejętność podejmowania decyzji.
Daje lekcje samodyscypliny
i zapewnia poczucie spełnienia –
po równo, dla dziewczynek
i dla chłopców.*

– Teraz wszyscy musimy pomyśleć to samo. Skupić się na jednym celu. Inaczej może być katastrofa. Chyba że chcecie znów znaleźć się w warsztacie?... – Pandi był wyjątkowo poważny.

– Wszystko nam się udało, bo działaliśmy wspólnie! Jak w sporcie. Kobiety i mężczyźni, ramię w ramię. Razem! – dorzuciła Kristin.

– Do domu bliźniaków!!! – krzyknęły chórem. – Raz, dwa i...

Ta podróż trwała najdłużej. Słyszały jakieś tajemnicze kosmiczne dźwięki zmieszane z szumem wiatru, hymnem olimpijskim, brawami i wiewatami publiczności. Ktoś coś mówił. Słowa były coraz wyraźniejsze: „To nie triumf, lecz sama walka jest tym, co w życiu istotne. Rzeczą zasadniczą nie jest odnosić zwycięstwo, lecz szlachetnie walczyć”.



„Sama prawda” – zdążyły pomyśleć, każde po swojemu, zanim słowa nagle się urwały. Przez chwilę było zupełnie cicho, a potem usłyszały miauczenie. Jedna po drugiej ostrożnie otwierały oczy.

– Hurra!!! Udało się!!! – wrzasnął Pandi.

Kristin rozglądała się z radością. Oszołomiony Haakon ścisnął ją za rękę. Niedźwiadki polarne fikały koziołki, popiskując z zadowoleniem.

Czarny kocur przyglądał się całemu towarzystwu, młócąc ostrzegawczo ogonem.

– A to się bliźniaki ucieszą! – rozległ się głos z półki.

Wszystkie stojące tam maskotki machały do nich uradowane.

– Zaraz się do was wdramiemy! – pisnęła Hidy.

– Ale jak? – zmartwił się Howdy, zaraz jednak mu przeszło.

Po tym wszystkim, co przeżyli, dostanie się na półkę to już nie był problem!





Vučko - maskotka XIV zimowych Igrzysk Olimpijskich Sarajewo 1984 przybrała postać wilka, zwierzęcia zwykle występującego w lasach regionu Alp Dynarskich. Poprzez swój uśmiechnięty lub poważny wyraz twarzy Vučko nadat wilkowi raczej przyjazny wygląd, a nawet pomógł zmienić zwykle okrutny wizerunek tego zwierzęcia.



Emblemat XIV zimowych Igrzysk Olimpijskich Sarajewo 1984 - symbolizuje stylizowanego płatek śniegu z pierścieniami olimpijskimi. Posiada również tradycyjny wzór haftu produkowanego w regionie Sarajewa.



ceremonia otwarcia Igrzysk Olimpijskich w Sarajewie.



Robert „Robb” Maciąg



Była mroźna zima. Góry Jahorina już od kilku tygodni pokrywał bardzo głęboki śnieg i nikt z pobliskiego Sarajewa się w nie nie zapuszczał.

Od dwóch dni wiała koszawa, straszny wiatr, który wyginał gałęzie i wzbijał chmury śniegu. Pod wielkim świerkiem leżał mały, wystraszony wilczek. Śnieg i lód oblepiły gałęzie drzewa tak mocno, że stworzyły coś na kształt namiotu, i mały był bezpieczny.

Wiatr i straszne zimno nie przebijały się przez lodową skorupę, jednak wilczek był sam i bardzo się bał. To była jego pierwsza koszawa, nie wiedział więc, jak długo będzie trwała. Nie wiedział też, gdzie w tej śnieżnej zawierusze podziła się jego rodzina. Wszystko przez to, że gdy wataha wędrowała przez las, wiatr złamał drzewo tuż przed nim. Wilczek odskoczył jak najdalej w bok, by nie sięgnęły go gałęzie, a w stadzie zrobiło się wielkie zamieszanie. W tym strasznym wietrze nikt nie usłyszał, jak mały nawołuje mamę.

Mijał właśnie drugi dzień, od kiedy się zgubił. Siedział wciąż w tym samym miejscu i czekał, aż jego wataha go znajdzie. Tak uczył go tata – by siedzieć w miejscu, gdzie się ostatni raz widzieli, i czekać. I tak zrobił. Był głodny i zmarznięty, ale czekał.



Po trzech dniach koszała ustała. Zza gałęzi przedzierały się promienie słońca, więc wilczek postanowił wyjść na zewnątrz. Niebo było błękitne. Po wietrze nie został nawet ślad. Podobnie jak po śladach jego watahy.

Nagle po swojej prawej stronie wilczek dostrzegł jakiś ruch. W pierwszej chwili chciał wyrwać do przodu, dać znać, że tu jest, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Podniósł do góry nos i wyczuł zapach człowieka.

Człowiek pachniał miastem i nie miał przy sobie strzelby – to był dobry znak. Miał za to plecak, z którego wystawały pędzle i sztaluga.

Wilczek skulił się i już, już miał wracać pod daszek z gałęzi, gdy usłyszał przyjazny głos:

– A kto to tutaj siedzi taki zmarznięty?

– Pewnie zgubiłeś się w tym wietrze i teraz nie wiesz, co ze sobą począć, co? – dodał po chwili człowiek.

Wilczek popatrzył mu głęboko w oczy i trochę się odprężył.

– Tak, to prawda – odezwał się nieśmiało do człowieka. – Zgubiłem swoją watahę i czekam tu na moją mamę i tatę. I wcale się ciebie nie boję! – warknął odważnie.

– A to bardzo dobrze się składa, że się mnie nie boisz. Bo mnie nie ma się co bać. Nazywam się Jože Trobec i jestem artystą – odpowiedział człowiek.

– I wcale się mnie nie boisz? – zdziwił się wilczek. – Przecież ludzie boją się wilków! Tata mi mówił, że opowiadacie swoim dzieciom straszne historie o złych wilkach! – krzyknął zdenerwowany.

– A ja mam ochotę to zmienić – odpowiedział mu spokojnie Jože. – Niedługo tutaj, w tym wielkim mieście na dole, odbędą się igrzyska olimpijskie. Potrzebna jest maskotka. Namawiają mnie i wielu innych artystów, żebyśmy narysowali jakieś zwierzątko, które będzie symbolem igrzysk. No i ja postanowiłem narysować wilka.

– Wilka? Na pewno? – spytał już spokojniej wilczek.

– Tak, wilka – odpowiedział pewny siebie Jože. – Chciałbym narysować cię tak, żeby wszyscy cię polubili. Może nawet pokochali. Jeśli mi zapozujesz, oczywiście – uśmiechnął się.

– Ale co będzie, gdy wszyscy się o mnie dowiedzą? Nie przyjadą tu myśliwi, by mnie odstrzelić? – zapytał wystraszony wilczek. – Nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Doskonały, drogi wilczku – uspokajał go Jože. – Przyjedzie tu wielu sportowców. To naprawdę sympatyczni ludzie. Polubią nie tylko ciebie, ale też wilki w ogóle. Sam zobaczysz! – dodał i rozstawił sztalugę. – To co? Mogę cię namalować? Ostrzegam, że będziesz trochę śmieszny. Nie, nie szczerz zębów, bo nic z tego nie wyjdzie. To co? Zgadzasz się?

– Jasne! – odpowiedział wilczek i zrobił najbardziej przyjacielską minę, jaką znał. Nie mógł w to wszystko uwierzyć.

* * *

Gdy rozgrywano XIV Zimowe Igrzyska Olimpijskie w Sarajewie, miałem dziesięć lat. Pamiętam je najlepiej ze wszystkich. I to właśnie dzięki maskotce.

Był nią Vučko (Вучко) – gapowaty Wilczek, który zabawiał nas w telewizji przed każdą kolejną transmisją. Pojawiał się kilka razy dziennie. Czasem jechał na dachu autobusu, a czasem wspinał się na wielką górę, która okazywała się... dachem górskiego schroniska.

Jednak najczęściej leciał niczym skoczek narciarski z Ziemi w kosmos i z powrotem do Sarajewa. A szybując na nartach niczym Piotr Żyła, zawodził melodyjnie na bałkańską nutę: „Saaaraaajeeeeewoooo! Sarajewoooooo”.

* * *

Trzy lata wcześniej, latem 1981 roku, największa wówczas gazeta w Słowenii, „Delo”, ogłosiła konkurs na maskotkę zimowych igrzysk w Sarajewie.

Ale zaraz, zaraz, dlaczego słoweńska gazeta, spytacie, skoro igrzyska miały się odbyć w Bośni. Zupełnie innym kraju! Otóż dlatego, że w tamtych latach wciąż jeszcze istniało państwo Jugosławia, które swoim terytorium obejmowało dzisiejszą





Słowenię, Chorwację, Bośnię i Hercegowinę, Serbię, Czarnogórę, Kosovo i Macedonię.

Ale dlaczego wilk miałby być maskotką? Nie, o to nie pytacie, bo przecież już wiecie, że Jože Trobec, twórca Vučka, uważał, że wilk doskonale nadaje się na maskotkę zawodów sportowych. Inspirację znalazł w baśniach o wilkach mieszkających w Jahorinie – górach otaczających Sarajewo – które czytał jako dziecko.

Chciał, by wilk nie był już dłużej postrzegany jako „złe zwierzę”, które porwuje owce, połyka babcię dziewczynki w czerwonych płaszczykach, a nawet same dziewczynki... Wysłał więc na konkurs trzy różne projekty: Wilczka na nartach, Wilczka na łyżwach i Wilczka jako maskotkę.

Niewiele brakowało, a wygrałby ktoś inny, bo Jože... wysłał projekty w ostatniej chwili i list z jego rysunkami przyszedł już po terminie. Na szczęście liczył się termin wysłania prac, czyli data stempla pocztowego na kopercie, dopuszczono więc Jożego do konkursu.

I Wilczek stanął do walki.

Do redakcji gazety przyszło tysiąc dwieście listów z propozycjami, z czego aż osiemset projektów spełniało warunki konkursu. Wśród maskotek były przede wszystkim króliki, owce, wiewiórki... i tylko jeden wilk.

Wesoły, z szelmowskim uśmiechem.

Komisja konkursowa nie była pewna, czy wilk to dobry pomysł, więc Jože Trobec musiał szybko ją przekonać, że wilk to zwierzę waleczne i na pewno lepiej kojarzy się z walką sportową niż



płochliwy królik czy wystraszona owca. Był tak pewny swego, że komisja przyznała mu rację i Wilczek został dopuszczony do finału. Postanowiono tylko zmienić wymyślone przez rysownika imię Jahorinko (od gór Jahorina) na Vučko.

Przyszedł czas głosowania. Musicie wiedzieć, że nie było to wtedy takie łatwe jak dziś. Nie można było kliknąć czy wysłać esemesa, bo nie używano jeszcze komórek, komputerów. Należało wysłać do redakcji pocztówkę!

Konkurentami Wilczka byli: łasica, baranek, kozioł górski, jeź i śnieżka. I co? I przyszło mnóstwo pocztówek, i niemal wszystkie z głosami na Vučka! W redakcji zaczęto podejrzewać oszustwo i powtórzono głosowanie. I co? I przyszło jeszcze więcej pocztówek z głosami na wesołego Wilczka! Ponoć nawet więcej niż za pierwszym razem!

W ten sposób Vučko został oficjalną maskotką XIV Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Sarajewie, a Jože Trobec otrzymał w nagrodę szesnaście milionów dinarów. Choć suma wydaje się olbrzymia, to niestety, za te pieniądze mógł sobie kupić najwyżej... garaż.

Jednak marzenie Jożego się spełniło: dzięki wesołemu Wilczkowi Jugosłowianie polubili wilki. Nagle bajki o złych wilkach wydały im się nieprawdziwe, bo przecież Vučko był ciągle uśmiechnięty! Czasem trochę gapowaty, ale nigdy zły. Był urwisem, a nie groźnym wilkiem, który pożera owce i wyje po nocach.

Odtąd każdy chciał mieć Vučka u siebie w domu. Powstały breloczki, naklejki, szklanki, zapalniczki, figurki, proporczyki, koszulki, rymowane książeczki, a nawet radio w kształcie Wilczka i... wyjątkowe spodnie! Tak, spodnie. Pomarańczowe sztruksy, do których doczepiono niewielki breloczek zwisający z przedniej szlufki. Był malutki, tyci, niewiele szerszy od tej szlufki, ale był. I dlatego te spodnie były olimpijskie! Sarajewskie!

W fabryce zabawek otwarto nawet specjalną linię produkującą wyłącznie te maskotki. I wiecie co? Tylko podczas igrzysk, czyli w jedenaście dni, sprzedano sto dwadzieścia sześć tysięcy pluszowych Vučków. I to bez żadnej reklamy!

Miałem wtedy dziesięć lat i też marzyłem o swoim własnym Wilczku. Na pluszaka nie miałem szans. Na koszulkę czy breloczek też nie. Dlatego nauczyłem się go rysować.

Tata pokazał mi, jak za pomocą zeszytu w kratkę kopiować rysunki. Wyciął postać Vučka z gazety, narysował na nim kratki i pokazał, jak kratka po kratce przerysować całą postać. Dziś wiem, że taka technika nazywa się „techniką skalowania”, ale w czwartej klasie podstawówki wcale mnie to nie interesowało. Wtedy ważne było jedynie to, że mogłem rysować Vučka, gdzie tylko chciałem! A mój tata był bohaterem i cudotwórcą!

Po kilku dniach miałem cały trzydziestodwukartkowy zeszyt pełny rysunków wesołej maskotki: Vučko skakał ze skoczni, jechał bobslejem, zjeżdżał na nartach. Najtrudniej było mi narysować, jak leci na nartach przed siebie, ale i z tym sobie poradziłem.

Rysowałem go też innym. Gdy ktoś bardzo chciał mieć jego łobuzowaty uśmiech w swoim zeszycie, dawał mi na przerwie zeszyt do matematyki (bo był w kratkę!), a ja rysowałem mu Vučka w wybranej pozie. W końcu szło mi to tak dobrze, że rysowałem go już z pamięci – bez kratkowanego szablonu z gazety. A tymczasem w telewizji Vučko rozpędzał bobslej, który pędził tak szybko, że biednemu Wilczkowi rozciągały się ręce niczym z gumy.

Wielki, dmuchany Vučko stał przed hotelem w Sarajewie, gdzie podczas igrzysk mieszkali Jože i jego żona. Podobny był pod skocznia, na mecie slalomu i przed lodowiskiem. Na niektórych przystankach autobusowych zmieniono tablice na nowe, z Wilczkiem. Przy wjeździe do miasta od strony lotniska pojawiła się olbrzymia tabliczka z Wilczkiem o psotnych oczach i wielkim napisem „Witamy w Sarajewie” (oczywiście po angielsku, żeby wszyscy rozumieli).

A Vučko? Vučko w kolejnej animacji szykował się właśnie do slalomu. Czasem narty zostawały w śniegu i dosłownie wyskakiwał z butów, a czasem zbierał po drodze wszystkie chorągiewki i dojeżdżał uśmiechnięty do celu. Zdarzało mu się też dryblować krążkiem hokejowym i przejeżdżać z wielkim hukiem przez bandę lub owijać się ogonem, gdy kończył piruet jako łyżwiarz figurowy. Wszystko zależało od tego, jakie zawody miały być transmitowane.

Moją ulubioną dyscypliną były skoki narciarskie: Vučko rozpędzał się jak szalony do skoku tylko po to, by wylądować na buli, wyhamować, machając rękami, zatrzymać się i zejść.

Po ceremonii zamknięcia igrzysk, której gwiazdą był także Vučko, zagraniczni sportowcy i turyści jechali do domu, mając w pamięci bałkańską gościnność i tłumy kibiców na trybunach. Marja-Liisa Härmäläinen wracała do Finlandii jako rekordzistka medalo-
wa tych igrzysk: trzy złote medale i jeden brązowy. Drużyna Niemieckiej Republiki Demokratycznej – z dziewięcioma złotymi, dziewięcioma srebrnymi i sześcioma brązowymi – świętowała najlepszy wynik drużynowy.

Niedługo miała nadejść wiosna, a potem lato. Kibice i sportowcy wypatrywali już letnich igrzysk po drugiej stronie Atlantyku, w Los Angeles. I nowej maskotki.

Pod wieloma względami to właśnie zimowe igrzyska olimpijskie w Sarajewie wydają się najbardziej znaczące w historii. Bo skoro – jak w starożytnej Grecji – igrzyska to czas pokoju i współzawodnictwa, Sarajewo było tego znakomitym przykładem. Maskotkę narysował Słoweńiec, kilkanaście animowanych filmików nakręcił Chorwat, głosu śpiewającego „Saraaaaajeeeeewooo” użyczył Serb, a same igrzyska odbyły się w Bośni. Czy można było lepiej połączyć całą Jugosławię?

* * *

Osiem lat później Jugosławia rozpadła się na niepodległe kraje, między innymi Bośnię i Hercegowinę. Niestety, nie wszystkim się to podobało. Zaczęło się czteroletnie oblężenie Sarajewa przez Serbów. Zginęło wielu ludzi. Wokół głównego stadionu powstał cmentarz. Nowoczesny tor bobslejowy stał się linią frontu – do dziś widać w nim odpryski po ostrzale. A tablica z łobuzowatym Vučkem – podziurawiona pociskami z karabinów – jeszcze kilka lat temu stała w Sarajewie jako pomnik wojny.

*Pokazywanie młodym
ludziom i innym pokoleniom,
że rywalizacja może być pokojowa
i mieć ludzką twarz, propagowanie
walki bez elementu destrukcji –
według mnie to od lat stanowi
sedno igrzysk.*

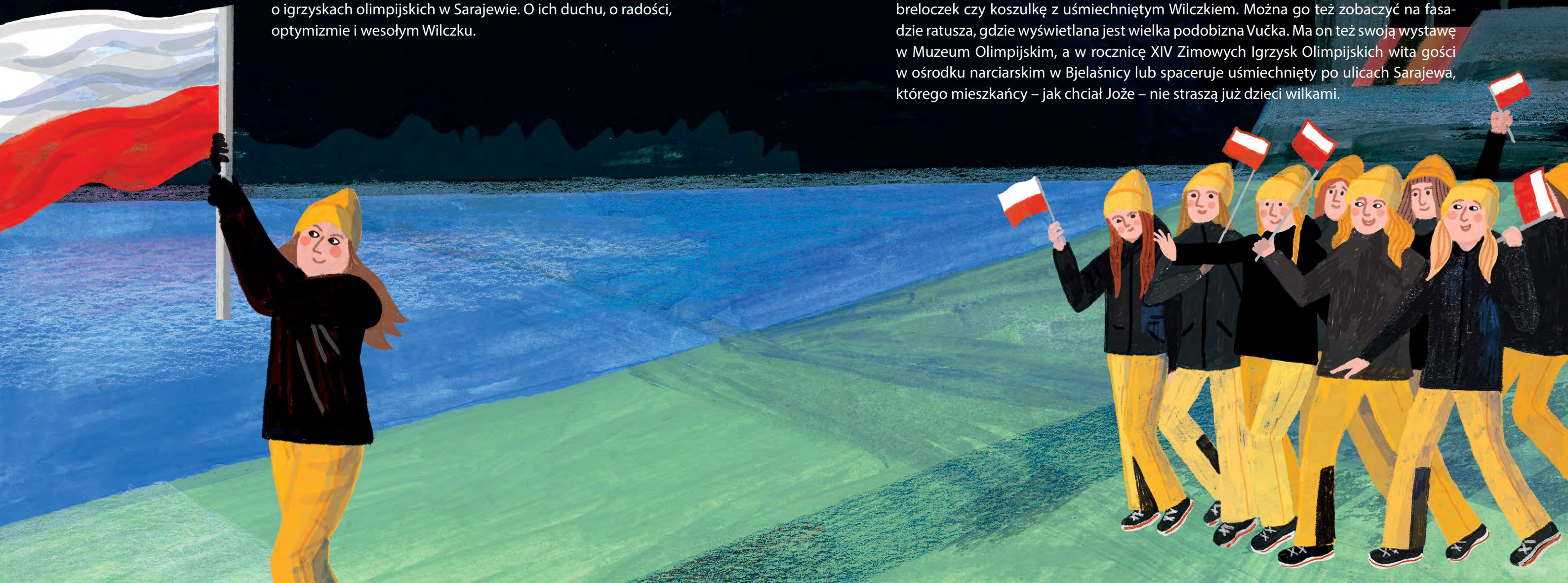
Katarina Witt

Dziś Sarajewo jest znów pięknym miastem. Tereny olimpijskie popadły co prawda w ruinę, a przy stadionie wciąż jest cmentarz, ale miasto przetrwało.

W 2019 roku za sprawą Europejskich Igrzysk Olimpijskich Młodzieży do Sarajewa znów zawitali sportowcy. I powstała nowa maskotka – Groodvy. Podczas uroczystego otwarcia niejeden przemawiający wspominał, że dorastając, słuchał opowieści o igrzyskach olimpijskich w Sarajewie. O ich duchu, o radości, optymizmie i wesołym Wilczku.

A Jože Trobec wspominał niedawno, że w sarajewskiej kawiarni ktoś rozpoznał w nim twórcę Vučka. I nagle wszyscy wstali, i bili mu brawo, jakby był gwiazdą sportową lub znanym piosenkarzem.

Jego Vučko szybko stał się symbolem Sarajewa. Jeśli wybieriecie się kiedyś do stolicy Bośni i Hercegowiny, trudno będzie wam nie natknąć się na kubeczek, magnes, breloczek czy koszulkę z uśmiechniętym Wilczkiem. Można go też zobaczyć na fasadzie ratusza, gdzie wyświetlana jest wielka podobizna Vučka. Ma on też swoją wystawę w Muzeum Olimpijskim, a w rocznicę XIV Zimowych Igrzysk Olimpijskich wita gości w ośrodku narciarskim w Bjelašnicy lub spaceruje uśmiechnięty po ulicach Sarajewa, którego mieszkańcy – jak chciał Jože – nie straszą już dzieci wilkami.





Mistrz o mistrzu

Gdy rozpoczęły się igrzyska olimpijskie w Los Angeles w 1932 roku, do wioski olimpijskiej, czyli takiego osiedla, w którym mieszkają olimpijczycy z całego świata, przybłąkał się niewielki czarny sznaucek. Najpewniej zwabiły go zapachy z olimpijskiej stołówki i szybko wyczuł, że gdy zaszczeka i pomerda ogonkiem, dostanie smakowity kąsek od sportowców. Każdego traktował sprawiedliwie, rozdawał swoje radosne szczeknięcia niczym dobre życzenia. Kucharki uszyły mu kubraczek z symbolem olimpijskim i z napisem „maskot” (to angielskie słowo oznaczające „maskotkę”), bo piesek szybko stał się pupilem. I choć Smoky, bo tak go nazwali olimpijczycy, nie był pluszakiem, to przynosił każdemu radość i pociechę.



W języku polskim nazwalibyśmy go Czarnym Dymem i choć każdy dym szczypie w oczy, to ten sznaucek rozpromieniał swoją radością mieszkańców wioski olimpijskiej.

Jednym z nich był Janusz Kusociński, który przyjechał do Los Angeles, by zdobyć złoty medal olimpijski w biegu na 10 000 m. Smoky i Kusy (taki przydomek miał ten słynny biegacz) na pewno się spotkali. I co więcej, razem biegali. Myślę, że sznaucek towarzyszył Kusemu podczas treningów biegowych po wiosce olimpijskiej.

Gdy zdobywałem swój złoty medal olimpijski w żeglarskim podczas Igrzysk XXVI Olimpiady w Atlancie w 1996 roku, już wiedziałem, że Janusz Kusociński był wielkim sportowcem. Smoky był pierwszą nieoficjalną maskotką igrzysk olimpijskich, o czym Wam dzisiaj opowiadam.

Kusy biegał bardzo dużo i bardzo szybko. Wprowadzał nowe metody treningowe, był ciekaw nowych rozwiązań w sporcie. Chciał być najlepszy i śmiało stawiał sobie cele, a potem wytyczał do nich drogę. Myślę, że każdego mistrza określa ciekawość i pozytywna motywacja. A jeśli na swojej drodze spotka szczęście, tak jak Kusy Smoky'ego, to złoty medal gwarantowany.

Mateusz Kusznerewicz

Pięciokrotny olimpijczyk, złoty i brązowy medalista olimpijski,
mistrz świata i Europy w żeglarskim

Maskotki Letnich Igrzysk Olimpijskich

KOLEJNOŚĆ IGRZYSK	MIASTO, ROK IGRZYSK	IMIĘ MASKOTKI	WIZERUNEK MASKOTKI
Igrzyska XX Olimpiady	Monachium 1972	Waldi	
Igrzyska XXI Olimpiady	Montreal 1976	Amik	
Igrzyska XXII Olimpiady	Moskwa 1980	Misza	
Igrzyska XXIII Olimpiady	Los Angeles 1984	Sam	
Igrzyska XXIV Olimpiady	Seul 1988	Hodori	
Igrzyska XXV Olimpiady	Barcelona 1992	Cobi	
Igrzyska XXVI Olimpiady	Atlanta 1996	Izzy	

Igrzyska XXVII Olimpiady	Sydney 2000	Syd, Millie, Olly	
Igrzyska XXVIII Olimpiady	Ateny 2004	Atena i Apollo	
Igrzyska XXIX Olimpiady	Pekin 2008	Beibei, Jingjing, Huanhuan, Yingying, Nini	
Igrzyska XXX Olimpiady	Londyn 2012	Wenlock i Mandeville (igrzyska paralimpijskie)	
Igrzyska XXXI Olimpiady	Rio de Janeiro 2016	Vinicius i Tom (igrzyska paralimpijskie)	
Igrzyska XXXII Olimpiady	Tokio 2020	Miraitowa i Someity (igrzyska paralimpijskie)	
Igrzyska XXXIII Olimpiady	Paryż 2024	Frygijka (igrzyska olimpijskie) i Frygijka (igrzyska paralimpijskie)	

Maskotki Zimowych Igrzysk Olimpijskich

KOLEJNOŚĆ IGRZYSK	MIASTO, ROK IGRZYSK	IMIĘ MASKOTKI	WIZERUNEK MASKOTKI
XII Zimowe Igrzyska Olimpijskie	Innsbruck 1976	Mandele	
XIII Zimowe Igrzyska Olimpijskie	Lake Placid 1980	Roni	
XIV Zimowe Igrzyska Olimpijskie	Sarajewo 1984	Vučko	
XV Zimowe Igrzyska Olimpijskie	Calgary 1988	Howdy i Hidy	
XVI Zimowe Igrzyska Olimpijskie	Albertville 1992	Magique	
XVII Zimowe Igrzyska Olimpijskie	Lillehammer 1994	Haakon i Kristin	
XVIII Zimowe Igrzyska Olimpijskie	Nagano 1998	Sukki, Nokki Lekki, Tsukki	

XIX Zimowe Igrzyska Olimpijskie	Salt Lake City 2002	Powder, Copper, Coal	
XX Zimowe Igrzyska Olimpijskie	2006 Turyn	Neve, Gliz	
XXI Zimowe Igrzyska Olimpijskie	2010 Vancouver	Miga, Quatchi, Mukmuk	
XXII Zimowe Igrzyska Olimpijskie	2014 Soczi	zajączek, lampart, niedźwiedź polarny	
XXIII Zimowe Igrzyska Olimpijskie	2018 Pyeong Chang	Sohorang i Bandabi (igrzyska paralimpijskie)	
XXIV Zimowe Igrzyska Olimpijskie	2022 Pekin	Bing Dwen Dwen i Shuey Rhon Rhon (igrzyska paralimpijskie)	
XXV Zimowe Igrzyska Olimpijskie	2026 Milano Cortina	Tina i Milo	

Maskotki Letnich Młodzieżowych Igrzysk Olimpijskich

KOLEJNOŚĆ IGRZYSK	MIASTO, ROK IGRZYSK	IMIĘ MASKOTKI	WIZERUNEK MASKOTKI
I Letnie Młodzieżowe Igrzyska Olimpijskie	Singapur 2010	Lyo i Merly	
II Letnie Młodzieżowe Igrzyska Olimpijskie	Nankin 2014	Nanjinglele	
III Letnie Młodzieżowe Igrzyska Olimpijskie	Buenos Aires 2018	Pandi	

Maskotki Zimowych Młodzieżowych Igrzysk Olimpijskich

KOLEJNOŚĆ IGRZYSK	MIASTO, ROK IGRZYSK	IMIĘ MASKOTKI	WIZERUNEK MASKOTKI
I Zimowe Młodzieżowe Igrzyska Olimpijskie	Innsbruck 2012	Yoggl	
II Zimowe Młodzieżowe Igrzyska Olimpijskie	Lillehammer 2016	Sjogg	
III Zimowe Młodzieżowe Igrzyska Olimpijskie	Lausanne 2020	Yodli	
IV Zimowe Młodzieżowe Igrzyska Olimpijskie	Gangwon 2024	Moongcho	

Pomysł i realizacja: Monika Myszkowska
Redakcja: Dorota Koman-Szmigiero
Korekta: Katarzyna Kusojć
Ilustracje i projekt okładki: Ewa Poklewska-Koziełło
Skład: Magdalena Limbach Studio
Redaktorka prowadząca: Katarzyna Deberny

Wydawca: Polski Komitet Olimpijski
Copyright: Polski Komitet Olimpijski, Warszawa 2025
ul. Wybrzeże Gdynskie 4
www.olimpijski.pl
ISBN: 978-83-965691-9-6

Druk: Perfekt

Symbole olimpijskie takie jak maskotki i koła olimpijskie oraz logotypy igrzysk olimpijskich stanowią własność olimpijską, do której prawa przysługują Międzynarodowemu Komitetowi Olimpijskiemu. Własność olimpijska jest chroniona na szczeblu międzynarodowym przepisami dotyczącymi własności intelektualnej (IP), w tym zarejestrowanymi wzorami, prawami autorskimi, znakami towarowymi oraz innymi prawami chroniącymi wartości niematerialne i prawne związane z igrzyskami olimpijskimi.

Polski Komitet Olimpijski jest jedynym podmiotem w Polsce posiadającym zgodę na używanie symboli olimpijskich do celów edukacyjnych. Niniejsza książka nie może być sprzedawana ani rozpowszechniana za pomocą internetu. Wszelkie nadużycia ze strony osób trzecich będą skutkowały konsekwencjami prawnymi.



Książka ukazała się dzięki wsparciu Grupy Ferrero w Polsce, w ramach realizowanego przez nią programu KINDER Joy of moving.

KINDER Joy of moving to program z zakresu społecznej odpowiedzialności biznesu realizowany przez Grupę Ferrero w ponad 20 krajach na całym świecie, w tym od 2007 również w Polsce. Celem programu jest szeroko rozumiana edukacja sportowa, promocja aktywnego stylu życia wśród młodego pokolenia oraz ich rodzin.

W Polsce na program KINDER Joy of moving składa się kilka ogólnopolskich projektów i wydarzeń specjalnych o charakterze edukacyjno-sportowym. Wszystkie realizowane są przez Grupę Ferrero we współpracy z uznanymi partnerami jak Polski Komitet Olimpijski, Polski Związek Piłki Siatkowej czy Fundacja Moniki Pyrek.

Program KINDER Joy of moving stale się rozwija, inspirując do prowadzenia aktywnego stylu życia i czerpania radości z ruchu!

Gdzie jest Smoky? to zbiór opowiadań, których bohaterami są maskotki olimpijskie i to one zabierają nas w świat wartości oraz historii, których istota wykracza daleko poza stadion czy tor łyżwiarski. Maskotki olimpijskie mówią nam o przyjaźni, radości z ruchu, fair play, wspólnocie, równości wszystkich ludzi, harmonii między ciałem a umysłem, szacunku do historii, odwadze do patrzenia w przyszłość, dążeniu do doskonałości, potęgze różnorodności, ekologii czy w końcu pokoju na świecie.

Tytułowy Smoky to czarny sznaucer, który stał się pierwszą, jeszcze nieoficjalną, maskotką olimpijską już w 1932 roku, podczas igrzysk olimpijskich w Los Angeles. Jego historię przytacza nam Mateusz Kusznerewicz – mistrz olimpijski w żeglarskiej – ambasador tej książki.

Książkę dedykujemy dr Marii Rotkiewicz, która jako pierwsza w Polsce opisała historię maskotek olimpijskich, oraz wszystkim młodym czytelnikom – adeptom olimpizmu.

